# WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 24 (246)
Rok VI
19 VI 1966 r.


# Polska rozmaitość z francuskim rodzynkiem

**Krystyna Świerczewska**

Nie robię wstępu do V Rzeszowskich Spotkań Teatralnych, bo nie widzę potrzeby powtarzać wszystkiego co znamy i co wiemy o nich, co sama piszę o nich rokrocznie, zawsze z jednakowym entuzjazmem dla idei — nie zawsze zachwycona repertuarem, zawsze skłonna dostrzegać zalety spektakli — nie zawsze głośno mówiąca o wadach... Przywykłam czekać na nie rok długi i dlatego wchodzę w to następne czekanie z nadzieją, że przyniesie pełniejsze zadowolenie, że repertuar ułożą ludzie teatru z przemyśleniem, że same teatry przywiozą do nas spektakle najlepsze, że znajdzie się wśród nich dyskutowany eksperyment, że wyważy się proporcje między współczesnością a arcydziełem klasyki, że jeżeli już musi być rozmaitość, to nie z przypadku, a świadomego doboru. Że przy tym wszystkim nieco utopii tu przemycam (bo nie może być chyba idealnych spotkań), wywodzę ją stąd, iż piszę o najładniejszej imprezie Rzeszowa, godnej największych starań i największej oprawy. I może stąd jeszcze, że I i II Spotkania „jak sen jaki złoty" przewijają się przez moją pamięć z ich bardzo wyraźnym charakterem przeglądu teatrów Polski Południowo-Wschodniej... I żal mi trochę, że dziś ta impreza nosi cechę spotkań li tylko z publicznością rzeszowską, która z kolei w tak ustawionym profilu przeglądu ma prawo domagać się przedstawień najlepszych, najbardziej reprezentatywnych dla danego teatru. Świąteczny bowiem nastrój przekreśla zdecydowanie jakąkolwiek formę roboczą spektaklu, którą gorąco witałoby się tylko na festiwalu...

DZIEŃ PIERWSZY

Pamiętacie lubelski Teatr im. Juliusza Osterwy z ubiegłych lat? Jeden z najlepszych, z młodym zespołem, który, poza świetnym aktorstwem prezentował zawsze ambitny repertuar? Pamiętacie „Archaniołów, nie grających w bilard", „Księżyc dla nieszczęśliwych", „Przepióreczkę" i „Powrót Przełęckiego"?, „Monserrata"? „Partitę na instrument drewniany" i „Szachy"? Nie muszę dodawać, że to były zawsze interesujące propozycje inscenizacyjne; ale jakże nie wspomnieć tu Danuty Nagórnej, Jana Machulskiego, czy Stanisława Mikulskiego z ich dojrzałym aktorstwem, jak nie wspomnieć Biczyckiego — reżysera, czy paru inscenizacji Torończyka, który od lat ten teatr prowadzi?

W tym roku Lublin pokazał tylko Scenę Inicjatyw z montażem stenogramów z procesu członków załogi Majdanka, zatytułowaną „Nigdy więcej" w reżyserii i inscenizacji Andrzeja Gazdeczki, z oprawą scenograficzną Jerzego Torończyka. Spektakl był próbą udramatyzowania najbardziej dramatycznych dziejów ludzkich; ambitną może, bardzo szlachetną w intencjach, na pewno potrzebną, ale niestety, nie najwyższych lotów. Kiedy oglądałam tę pracowitą inscenizację, coraz uporczywiej wracała myśl, że dobry teatr tworzy dobra literatura dramatyczna; że czas i w i e d z a, jaką posiedliśmy o epoce pieców wymaga dziś właśnie nie nagiego faktu, ale literackiej metafory, psychologicznego uogólnienia, skrótu i piękna słowa. Wymaga inscenizacji, ruchu, barwy, światła, słowem — tego co składa się na rzeczywiste elementy teatru; tego czym tak wstrząsająco oślepiało „Puste pole" Hołuja, przywiezione w zeszłym roku przez Szajnę z Teatrem Ludowym...

DZIEŃ DRUGI

Znowu publicystyka w teatrze, ale inteligentna w scenariuszu, z wielką konsekwencją reżyserowana. Myślę oczywiście o „Dallas, w samo południe" — programie mówiącym o zamachu na prezydenta Kennedy'ego, przygotowanym przez Ryszarda Smożewskiego i Stefana Bratkowskiego. Zaprezentował go Teatr Rozmaitości z Krakowa w formie audycji reklamowej telewizji amerykańskiej. Smożewski oparł swoją reżyserię na tym dobrym pomyśle, co pozwoliło mu nadać przedstawieniu tempo dynamiczne, zainstalować zespół instrumentalny Stanisława Radwana podczas całego spektaklu (notabene świetny), poprowadzić aktorów w stronę ironicznej tragikomedii, tam gdzie mowa o świecie bussinesu i bezwzględności. Szereg może drobnych pomysłów, ale błyskotliwych, nakazywało myśleć dobrze o reżyserze i zarazem współautorze scenariusza (bo trudno, „Dallas" nazwać sztuką). Zastanawiał wszakże zdekompletowany zespół; jak przykry dysonans raziła nieobecność kierownika artystycznego Rozmaitości — Haliny Gryglaszewskiej, która już drugi rok nie może (czy nie chce) pokazać nam swego aktorstwa i zaczyna się nie pamiętać jej poetyckiej Yermy, którą tak pięknie przed trzema laty uświetniła spektakl teatru kieleckiego w sztuce Federico Garcii Lorki.

DZIEŃ TRZECI

Dzień gospodarza Spotkań — Teatru im. Wandy Siemaszkowej z „Latem w Nohant" Jarosława Iwaszkiewicza w reżyserii Elwiry Turskiej i ładnej scenografii Ireny Perkowskiej, którą psuły tylko kostiumy George Sand i zupełnie niesamowity szlafrok Chopina. Spektakl bardzo tradycyjny, długi, przegadany w I akcie. Nieporozumienie dla mnie stanowiła rola Sand grana przez Jadwigę Wysocką na nutach rezonerstwa i patetycznej wielkości; pani Sand była w jej interpretacji tylko matką i trochę amantką, nie błyskotliwym talentem, który co prawda minął z epoką, ale zdążył tę epokę i szokować, i bulwersować, i ofiarować jej nowy styl powieści. Kiziukiewicz natomiast inteligentnie zbudował karyśnego Chopina, który, mówiąc o pulardzie, o Wodzińskiej i o Largo z Sonaty, był przede wszystkim c z ł o w i e k i e m. Podobały mi się panie: Solange — Anny Drożdżówny (to był popis dobrej dykcji) i figlarna Rozjerka — Magdy Szkopówny — Bartoszek oraz z panów: Zaremba, Zawirski i Saar.

Podobał mi się także finał spektaklu, bo był jedynym momentem wyjaśniającym atmosferę Nohant, w której rodziły się wielkie dzieła Chopina, nie tylko śmieszne czy szkaradne intrygi.

DZIEŃ CZWARTY

Wyłom w ogólnej koncepcji Spotkań teatrów, przywożących w tym roku polski repertuar i jednocześnie błyskotliwa zabawa w Moliera, pełna niespodzianek scenograficznych i inscenizacyjnych, sprawna reżysersko, świetna aktorsko, z kapitalną rolą lekarza mimo woli — Edwarda Rączkowskiego. To był oczywiście Teatr Ludowy z molierowską farsą „Lekarz mimo woli", reżyserowaną przez Andrzeja Witkowskiego, ze scenografią Mariana Garlickiego, grający tę farsę na tonach najwyższego komizmu, dynamicznie, przykrawający Moliera bez pardonu (i dobrze przykrawający, co jeszcze żadnej sztuce nie zaszkodziło!). Czyste przedstawienie, które zaliczam do czołówki Spotkań. Rodzynek, który wrzucam do nie nadzwyczaj smacznego ciasta najgorszego spektaklu w tym roku (którego oczywiście nie godzi się wymieniać).

DZIEŃ PIĄTY I SZÓSTY

To były dwa spektakle, których nie sądzone mi było obejrzeć i naturalnie szczerze tego żałuję: tarnowskich „Dwóch teatrów" Jerzego Szaniawskiego, w reżyserii Jolanty Ziemińskiej, przede wszystkim dlatego, że Szaniawskiego zawsze mi mało na naszych scenach, że dramaturg to wielce mi umiłowany, że jego „Dwa teatry" — to jedna z najlepszych sztuk; katowickiego „Sułkowskiego" Stefana Żeromskiego, w reżyserii Józefa Pary, z wielu powodów, jak choćby ten, że po raz pierwszy zagościł na naszych Spotkaniach, że przywiózł spektakl, o którym głośno w polskiej prasie teatralnej, że, jak niosą wieści, publiczność rzeszowska przyjęła go z ogromnym entuzjazmem i wspomina tytułowego bohatera a zarazem reżysera z wielkim sentymentem.

DZIEŃ SIÓDMY

Przedstawienie „Czapy" Janusza Krasińskiego prezentowane przez zespół Teatru im. Stefana Żeromskiego z Kielc — teatru wiernego Spotkaniom, pamiętnego z „Romancy o Yermie" Lorki — reżyserowanej przez Gryglaszewską, z „Heloizy i Abelarda" Vaillanda, reżyserowanej przez Grudę.

Zaliczam tę sztukę, powstałą ze słuchowiska radiowego, do najbardziej kontrowersyjnych na Spotkaniach; nie zgadzam się z jej filozofią zła, wywołuje we mnie liczne protesty moralne i jednocześnie przyznaję jej autorowi talent w budowaniu dialogów oraz spięć dramatycznych. Śmiałam się dużo na tej komedii makabrycznej, ale ten śmiech często przemieniał się w niesmak; perfidna sztuka, która cały czas balansowała na granicy chwytów dozwolonych, robiąc często przechyły w stronę niebezpiecznej zabawy z najwyższych wartości, danych człowiekowi. Sztuka — fantom trochę. Upiorności dodał jej zresztą sam teatr, wykorzystując scenografię i światło, sam reżyser Jerzy Wasiuczyński — przeciągając makabrę finału i świetny aktor Zbigniew Plato, który konsekwentnie prowadził postać Kuźmy od brutalnej dobroduszności, poprzez cynizm, do zezwierzęcenia. I jeżeli ze złej sztuki może powstać ciekawy jej kształt sceniczny — to taki wypadek tu właśnie mógłby mieć miejsce; zwłaszcza wtedy, gdyby usunąć drobne monotonie powtarzających się sytuacji. Teatr kielecki pokazał nieźle swoje możliwości; zniechęcił mnie tylko do wymowy sztuki Krasińskiego. Ale to są przecież dwie różne sprawy.

DZIEŃ ÓSMY

Stary Teatr z Krakowa — „Tango". Zobaczyliśmy inscenizację uznaną zgodnie przez krytyków za najlepszą w Polsce. Zobaczyliśmy dramat Sławomira Mrożka, który na naszych oczach odkrywa mechanizmy transformacji purnonsensowej komedii w tragedię, zobaczyliśmy świat zniszczonych ideałów, brutalnej degrengolady wartości, drapieżnych racji, uogólnień, zła i przewrotności. Niemożność zastąpioną chamską bezwzględnością. Chochoły Wyspiańskiego zamienione w konformistów. Obnażoną głupotę. Optymizm przygnieciony kupą niechlujnych szmat. zidiociałą babcię myślącą o wieczności (cóż ta Niedźwiecka zrobiła z tej roli! — cudo...), burdel moralny i potrzebę wiary w dobro.

Zarzut stawiany Mrożkowi, że jest niezrozumiały, musiał odpaść, kiedy oglądało się spektakl Jerzego Jarockiego bardzo czytelny, powiedziałabym — opisowy, podporządkowany od początku wielkiemu monologowi Artura — Jana Nowickiego, który grał Mrożka genialnie, z dystansem, ironią — jako środkami wiodącymi do przejmującej prawdy. To był spektakl wstrząsający; to był teatr idei.

DZIEŃ DZIEWIĄTY

Zabawę w misterium staropolskie przywiózł i do nas nareszcie Teatr Narodowy, objechawszy z nią wprzódy nieledwie całą Europę i nazgarniawszy pochwał rozlicznych. Niechże i mnie wolno będzie dorzucić do „Historyi o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim" słowo dobre: że sławne przedstawienie Dejmka urzekało pięknem archaizmów, zachwycało humorem komentarza odaktorskiego, świetnie zespoliło się z intermediami plebejskimi i miało autentycznie młodziutki chór ptaszków, świergocących Historyę Zmartwychwstania. Miało poza tym plejadę aktorów tak znakomitych, że nie sposób ich tu wyliczać, więc choć wspomnę Machowskiego, Szletyńskiego, Krasnowieckiego, Strachockiego i Mularczyka — Prologusa, że miało wreszcie przewrotnego Siemiona-Jezusa, który błysnął tu aktorstwem znamienitym i o którym pisałam już na innym miejscu, tylko właśnie dzięki jego trzem wcieleniom w „Historyi"...

Piękny spektakl, poprzedzony 4-letnią sławą, której powtarzać się nie godzi, bo wszyscy słyszeli i czytali...

Tym akcentem świadczącym o roli teatru, o jego nieograniczonych możliwościach, Spotkania zakończono. Przyjadą za rok wszyscy pewnie. W międzyczasie Dejmek przejmie pieczę nad „Żywotem Józefa", wystawionym niedługo przez Teatr im. W. Siemaszkowej. Zostajemy przeto przy własnym teatrze, który, oby nam tego roku do następnych Spotkań nie wydłużył! Co napisawszy, uważam epilog tegorocznych V Rzeszowskich Spotkań Teatralnych za zakończony.

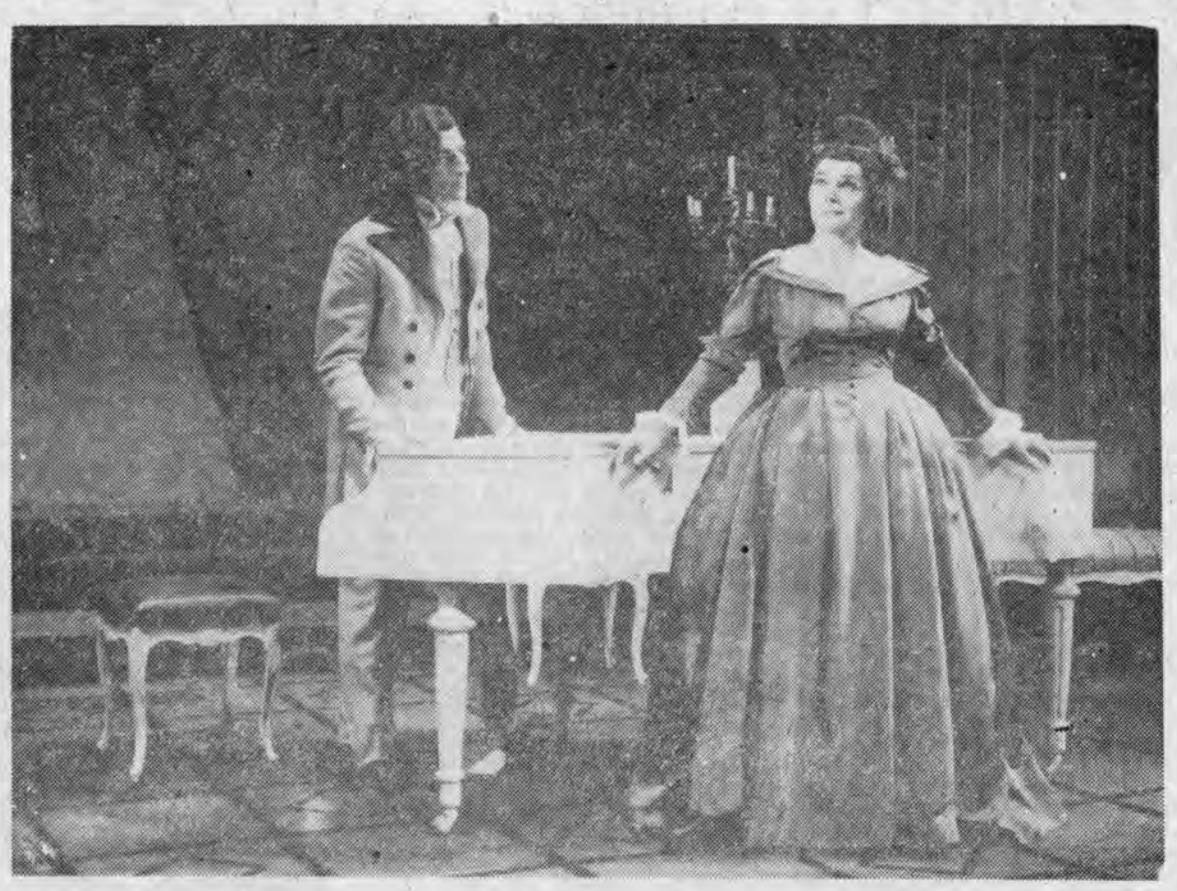

*Na zdjęciu (od lewej): Bogdan Kiziukiewicz (Chopin), Jadwiga Wysocka (George Sand) w sztuce „Lato w Nohant" J. Iwaszkiewicza.*

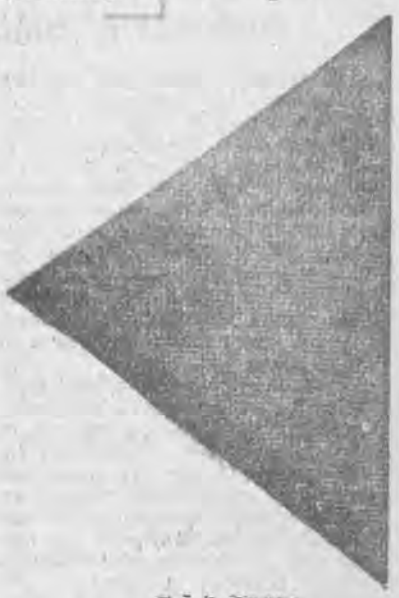

*Fot. J. OLMA*

**Kontynuujemy dyskusję zapoczątkowaną cyklem publikacji red. Zdzisława Kozioła na tematy humanizacji pracy; o psychospołecznych czynnikach w produkcji hutniczej pisze dziś inż. Zdzisław Malicki — dyrektor naczelny Huty „Stalowa Wola". Artykuł ten powstał w oparciu o referat wygłoszony na Ogólnopolskim Seminarium Socjologów Przemysłowych zorganizowanym w tym przedsiębiorstwie: referat przygotowali mgr Małgorzata Bonarek i mgr Jerzy Kozioł z Sekcji Humanizacji Pracy Huty „Stalowa Wola".**

**Wkrótce zamieścimy artykuł dr med. Zbigniewa Osterczego, który omówi medyczne aspekty stosunków międzyludzkich.**

**REDAKCJA**

**Inż. Zdzisław Malicki**

# Czynnik ludzki w produkcji hutniczej

Rozwój postępu technicznego nie zmniejsza decydującej roli człowieka w procesie produkcyjnym, którego przebieg uzależniony jest od najrozmaitszych czynników działających bezpośrednio bądź pośrednio. Dotyczą one zjawisk technicznych, ekonomicznych i społecznych.

Zagadnienia techniczno-organizacyjno-ekonomiczne już od dawna stanowią przedmiot zainteresowań praktyków przemysłu, natomiast człowiekiem w procesie produkcyjnym, jako obiektem wymagającym szczególnej uwagi, nie tak dawno zajęli się badacze świadczący swe usługi na rzecz przemysłu. A problemy te wymagają nie mniejszej troski kierownictw przedsiębiorstw aniżeli sprawy wyposażenia technicznego czy zaopatrzenia w surowce. Właśnie w społecznej, ludzkiej stronie produkcji tkwi źródło licznych niedomagań procesu wytwarzania, m. in. dlatego, że gwałtowny rozwój techniki zaskoczył człowieka, powiększając dysharmonię między nim a środkami produkcji. By przeciwdziałać wielu negatywnym zjawiskom jak chociażby szerzącym się chorobom nerwicowym, należy poznać splot różnorodnych spraw ludzkich występujących w toku pracy.

Kierowanie procesem technologicznym opiera się na zdobyczach nauk ścisłych; oddziaływanie na ludzi i regulowanie stosunków między nimi w procesie pracy też wymaga rzetelnej wiedzy o człowieku: psychologii, socjologii, pedagogiki i in. W praktyce przemysłowej nauki społeczne spełniają doniosłą rolę, ułatwiają racjonalne wykorzystanie zasobów ludzkich.

W hutnictwie czynniki psychospołeczne mają szczególnie duże znaczenie; wynika ono ze specyfiki warunków naturalnych, a mianowicie: uciążliwości, stosunkowo wysokiego stopnia zagrożenia wypadkami, różnorodności i trudnej do przewidzenia zmienności warunków pracy. Nie ma bowiem takich metod i organizacji pracy ani maszyn, które by same przez się gwarantowały bezawaryjną, wydajną i bezpieczną produkcję. Czynnikiem decydującym o ostatecznym efekcie pracy jest zawsze umiejętność, doświadczenie i wola człowieka. Nawet proste, pozornie prymitywne czynności wymagają sporego zasobu wiedzy zawodowej, doświadczenia i wielu sprawności psychofizycznych. Nie bez znaczenia jest także stosunek pracowników do swojego zawodu, zakładu czy aktualnie wykonywanej pracy.

Ludzie, jak to się zwykło mówić, niedopasowani do hutnictwa rezygnują z pracy, a jeśli ją kontynuują — osiągają słabsze wyniki, częściej niż inni ulegają wypadkom, stwarzają potencjalne zagrożenie dla współtowarzyszy.

Systematyczny wzrost poziomu organizacji pracy oraz nowoczesne, coraz bardziej skomplikowane maszyny i urządzenia wymagają od hutników większych niż dawniej kwalifikacji, sprawności psychofizjologicznych, kultury pracy. Stąd dużą wagę przywiązujemy do selekcji kandydatów na hutników, uwzględniając głównie predyspozycje psychofizjologiczne; wychodzimy bowiem z założenia, że ewentualne braki w wykształceniu ogólnym czy zawodowym można uzupełnić w toku pracy, natomiast wielu niezbędnych dla hutnika sprawności psychicznych i fizjologicznych nie zawsze można nabyć.

Dla uzasadnienia podam krótką charakterystykę pracy robotników — głównie wytapiaczy, walowników i kowali zatrudnionych w przetwórstwie i obróbce plastycznej stali; pracują oni w wysokiej temperaturze oraz niewygodnej i uciążliwej pozycji ciała, co powoduje bardzo duże zużycie energii. W organiźmie tych pracowników występują ujemne zmiany. Nasza przemysłowa służba zdrowia sygnalizuje, że powstają liczne schorzenia przede wszystkim płuc i serca.

Hutnicy zaś kończąc pracę stykają się, zwłaszcza zimą, ze znacznie niższą temperaturą przez co ich organizmy uprzednio nadmiernie przegrzane, oziębiają się. Ponadto wysoki stopień zanieczyszczenia powietrza pyłem, gazami i parą oddziaływuje szkodliwie na drogi oddechowe, powoduje schorzenia nosa, gardła, krtani, oskrzeli czy też podrażnienie spojówek. Świst powietrza wtłaczanego pod ciśnieniem do pieców oraz stukot walców, pras i młotów przytępia słuch i osłabia reakcje na bodźce akustyczne. Są oni także narażeni na kontrastowe zmiany w oświetleniu; oślepiające promieniowanie światła powoduje stopniowe zanikanie ostrości wzroku, a często poważniejsze nawet komplikacje.

Warunki pracy hutników, które skrótowo omówiłem, wymagają zainteresowania ze strony instytutów medycyny pracy; muszę przy tym podkreślić, że nasza przemysłowa służba zdrowia czyni w tym zakresie — jak na swoje możliwości — bardzo dużo. Także administracja przy pomocy związków zawodowych rokrocznie przeznacza znaczne kwoty pieniężne na poprawę tych warunków, a przy rozdziale skierowań na wczasy lecznicze i sanatoryjne, ta grupa pracowników jest uprzywilejowana. Staramy się poszerzyć bazę wypoczynku świątecznego, co również wywiera wpływ na poprawę kondycji fizycznej.

Poza warunkami naturalnymi należy uwzględnić cechy psychospołeczne zespołów hutniczych: pracują oni wspólnie i większość czynności — szczególnie w czasie spustu stali, walcowania czy kucia — musi być jednocześnie wykonywana przez wszystkich członków zespołu. Tego rodzaju praca wymaga dużej troski o właściwy dobór robotników do zespołów. Szczególna rola przypada ich bezpośredniemu zwierzchnikowi, którym jest mistrz; od niego otrzymują wskazówki, jemu zdają relację, mistrz jest instruktorem i doradcą.

Największa odpowiedzialność spoczywa na pierwszym wytapiaczu, walcowniku i kowalu. Oni spełniają kierowniczą funkcją w każdym zespole, muszą samodzielnie rozwiązywać wyłaniające się w toku produkcji, a często nieprzewidziane, kłopoty i trudności. Wyraźnie rysuje się więc funkcja nadrzędności pierwszych wytapiaczy, walowników i kowali wobec pozostałych członków zespołu. Ciężar gatunkowy tej funkcji zdaje się przewyższać stopień podporządkowania bezpośrednim przełożonym. Nie bez powodu utarło się powiedzenie, że „pierwszą osobą na wielkich piecach, walcach i prasach jest pierwszy walcownik, wytapiacz i kowal".

Jakie stawiamy wymogi ludziom kierującym zespołami? Np.: od pierwszego wytapiacza wymaga się szybkiej reakcji na podniety zewnętrzne, umiejętności analizowania zjawisk, podzielnej uwagi. O powodzeniu wytopu decydują niekiedy ułamki sekundy; decyzje muszą więc być podejmowane błyskawicznie. Błędy pociągają za sobą ogromne straty materialne, kalectwo a nawet śmierć znajdujących się przy piecu ludzi.

Do pełnienia tak odpowiedzialnej funkcji niezbędna jest odpowiednia postawa, zrównoważenie psychiczne, stała praca nad sobą. Wykonywany zawód kształtuje osobowość wytapiacza; jest on rzadko spotykanym gdzie indziej typem robotnika — analityka, który samodzielnie myśli i działa, samodzielnie podejmuje decyzje. Musi być także świadomy spoczywającej na nim odpowiedzialności za pomyślne wyniki oraz bezpieczeństwo towarzyszy. Praca w zespole wyrabia w nim cechy uspołecznienia, zgodnego i harmonijnego współżycia. Bez tych cech niemożliwe byłoby — jak to mówimy — zgranie kolektywu wytapiaczy, którego praca ma decydujące znaczenie dla całego przedsiębiorstwa.

A co hutnicy mówią o sobie? Prestiż zawodu hutniczego był przedmiotem badań przeprowadzonych przez Pracownię Socjologii i Psychologii Pracy Huty. Wynika z nich, że 85 proc. hutników jest zadowolonych z zawodu i pracy w przedsiębiorstwie. Zdecydowana większość badanych twierdzi, że pozytywy przewyższają przykrości wynikające z trudnych warunków naturalnych. U podstaw zadowolenia leży często świadomość przynależności do zawodu cieszącego się społecznym uznaniem. Dodam tu, że załoga naszej Stalowni pierwsza w kraju zdobyła tytuł „Wydziału Pracy Socjalistycznej".

Badani hutnicy twierdzili, że zawód im odpowiada, interesuje ich, daje poczucie odpowiedzialności, pozwala czuć się potrzebnym w zakładzie, jest źródłem dużej satysfakcji osobistej, pozwala na wyżycie się techniczne. Niejeden z nich podkreśla, że odziedziczyli go po ojcach, dążą do kontynuowania tradycji hutniczych w rodzinie, wielu jednak pragnie, aby ich dzieci zdobyły możliwie wysokie wykształcenie i lżej w przyszłości pracowały.

Charakter pracy w Hucie wpływa na selekcję naturalną, której wyrazem jest fluktuacja. Nasze przedsiębiorstwo składa się z dwóch zakładów: hutniczego i mechanicznego; istnieją więc duże możliwości znalezienia odpowiedniejszej pracy. Nie jest łatwo kierować tak dużym i zróżnicowanym zespołem ludzi. Stosunki międzyludzkie uzależnione są od szeregu czynników: technicznego charakteru pracy, poziomu pracowników, ich wykształcenia, doświadczenia oraz ładu organizacyjnego i kultury współżycia. Między wszystkimi wymienionymi czynnikami, a więc mniej lub bardziej sprawnym współdziałaniem czy układem organizacji formalnych nieformalnych, zachodzi ścisły związek. Np. współdziałanie zależy w dużej mierze od rozstawienia ludzi w pracy, ale uwzględnić przy tym trzeba także prestiż każdego z nich, kontakty wzajemne, łączące ich więzy grupowe itp. To samo można powiedzieć o roli akordu zbiorowego czy innych bodźcach wpływających na wydajność pracy i podnoszenie kwalifikacji, a także sposobów kontrolowania i zarządzania.

Rzetelna i szybka analiza funkcjonowania zespołów roboczych nie może ograniczyć się do związków między zespołami formalnymi, ale musi uwzględnić również konsekwencje wynikające ze specyficznych konfiguracji grup nieformalnych. Trzeba więc uwzględniać takie okoliczności jak: różnorodny skład załogi, pochodzenie społeczne, poziom wykształcenia, możliwości awansu itp. Szczególnie istotny jest problem chłopo-robotników. Różnice między robotnikami z miasta a robotnikami ze wsi przeradzają się niekiedy w antagonizmy, których przezwyciężenie wymaga znajomości ludzi i sytuacji. Wprowadzenie nowoczesnych urządzeń mechanicznych do Huty pociąga za sobą konieczność stałego podnoszenia kwalifikacji ogólnych i zawodowych załogi, wychowania nowego typu robotników.

WALENTYN BIERIEŻKOW

# W LEGOWISKU WROGA

## *Fragmenty wspomnień pracownika radzieckiej ambasady w Berlinie*

W sobotę 21 czerwca panowała w Berlinie piękna pogoda. Już poranek zapowiadał upał i wielu z nas szykowało się wyjechać po południu za miasto, do parków w Poczdamie lub na jeziora Wannsee i Nicolaussee, gdzie sezon kąpielowy rozpoczął się na dobre. Tylko niewielka grupa dyplomatów musiała pozostać w mieście. Rano przyszedł z Moskwy telegram. Ambasada winna niezwłocznie przekazać rządowi niemieckiemu ważne oświadczenie.

Polecono mi porozumieć się z Wilhelmstrasse, gdzie w pałacu z czasów Bismarcka mieściło się ministerstwo spraw zagranicznych i omówić spotkanie przedstawicieli ambasady z Ribbentropem. Dyżurny w sekretariacie ministra odpowiedział, że Ribbentropa nie ma w mieście. Telefon do pierwszego zastępcy ministra, sekretarza stanu Weizsäckera także nie dał rezultatów. Mijała godzina za godziną, a nikogo z wyższych urzędników nie udawało się uchwycić. Dopiero około południa zjawił się dyrektor wydziału politycznego ministerstwa Warman. Ale potwierdził on tylko, że ani Ribbentropa ani Weizsäckera nie ma w mieście.

— Zdaje się, że u Führera odbywa się jakieś ważne posiedzenie. Widocznie wszyscy są tam teraz... — wyjaśnił Warman. — Jeśli sprawa jest tak ważna, przekażcie ją mnie, a ja postaram się połączyć z kierownictwem...

Odpowiedziałem, że to niemożliwe, ponieważ ambasada otrzymała polecenie przekazać oświadczenie bezpośrednio ministrowi i poprosiłem Warmana, by dał o tym znać Ribbentropowi.

Sprawa, z jaką chcielibyśmy zwrócić się do ministra nie należała do tych, które można było powierzyć drugorzędnemu urzędnikowi. Przecież chodziło o oświadczenie, w którym żądano od rządu niemieckiego wyjaśnień w związku z koncentracją wojsk wzdłuż granicy Związku Radzieckiego.

Z Moskwy kilkakrotnie dzwonił tego dnia telefon. Przynaglano nas. Ale ilekroć zwracaliśmy się do ministerstwa spraw zagranicznych, odpowiedź brzmiała jednakowo: — Ribbentropa nie ma, a kiedy będzie — nie wiadomo.

Do siódmej wieczór wszyscy rozeszli się do domów. Mnie przyszło zostać i nadal dobijać się spotkania z Ribbentropem. Postawiwszy przed sobą budzik postanowiłem pedantycznie co pół godziny dzwonić na Wilhelmstrasse. Wszystkie telefony były jednak bez rezultatu.

Nagle o trzeciej nad ranem, czyli o piątej czasu moskiewskiego — była już niedziela 22 czerwca — rozległ się dzwonek. Jakiś nieznajomy szczekliwy głos oświadczył, że Reichsminister Joachim von Ribbentrop oczekuje radzieckich przedstawicieli w swoim gabinecie w ministerstwie spraw zagranicznych na Wilhelmstrasse. Już od tego nieznanego głosu, od tej niezwykle oficjalnej frazeologii powiało czymś złowieszczym. Ale odpowiadając, napomknąłem, że chodzi zapewne o spotkanie z ministrem, o które prosiła radziecka ambasada.

— Nic mi o tym nie wiadomo — usłyszałem. — Polecono mi tylko przekazać, że Reichsminister Ribbentrop prosi, by przedstawiciele radzieccy niezwłocznie przybyli do niego. Stwierdziłem, że potrzebny będzie czas, żeby zawiadomić ambasadora i przygotować samochód. Na to odpowiedziano:

— Samochód Reichsministra znajduje się już przed bramą radzieckiej ambasady. Minister ma nadzie-

RYS. J. SIENKIEWICZ

**MARCIN DRABIK — WYTAPIACZ NA MARTENIE 3 HUTY „STALOWA WOLA"**

Pracę rozpoczął przy budowie fundamentów stalowni już w 1937 roku, a po jej uruchomieniu obsługiwał piece martenowskie. W okresie okupacji, za spowodowanie „ucieczki" z pieca około 30 ton metalu, był prześladowany przez hitlerowców.

Po wyzwoleniu przystępuje do pracy na stanowisku wytapiacza. Swą szczerością i zdyscyplinowaniem oraz dobrymi wynikami w pracy zyskał zaufanie załogi i kierownictwa. W dowód uznania, odznaczony został Brązowym, Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a brygada, którą kieruje — srebrną odznaką „Brygady Pracy Socjalistycznej".

Z przytoczonych powodów, problemy humanizacji pracy są w centrum zainteresowania dyrekcji, Komitetu Zakładowego PZPR i Rady Zakładowej. Nasz program ujmuje m. in. takie zagadnienia jak: poprawę warunków pracy; szersze wprowadzenie postępu technicznego; systematyczne podnoszenie kwalifikacji ogólnych i zawodowych robotników i dozoru; poprawę organizacji pracy; organizację wypoczynku; właściwy dobór pracowników na poszczególne stanowiska oraz obiektywna ocena ich pracy.

To tylko niektóre zagadnienia związane z poważnym i rozległym zadaniem humanizacji pracy. Powołaliśmy w zakładzie komórkę humanizacji pracy, która propaguje i rozwija tę ideę, służy pomocą dozorowi i kadrze. Obserwujemy duże zainteresowanie tą problematyką tak ze strony kierownictwa wydziałów, jak też organizacji partyjnych, związkowych i młodzieżowych.

Każda nowa nauka wkraczająca do przemysłu, w tym przypadku psychologia i socjologia pracy, ma swoich zwolenników i ludzi odnoszących się z rezerwą. Dla nas, kierownictwa zakładu, ważne jest na ile będzie pomagać nam w rozwiązywaniu trudności napotykanych w codziennej pracy.

**inż. ZDZISŁAW MALICKI**

# Nowo odnalezione rękopisy Puszkina

W Leningradzie obradowała XVIII konferencja poświęcona twórczości i życiu Aleksandra Puszkina. Z tej okazji „Litieraturnaja Gazieta" zamieściła wywiad z kierownikiem działu rękopisów w Domu Puszkina — dr N. Izmajłowem.

Jak stwierdził N. Izmajłow, odnaleziony został niedawno rękopis Puszkina „O nauczaniu ludowym", z którym wiąże się ciekawy epizod z życia poety. Otóż we wrześniu 1826 r. Mikołaj I wezwał Puszkina z zesłania we wsi Michajłowskoje. Był to chytry manewr ze strony władcy: przyrzekł poecie pełną wolność, a jednocześnie pragnął sprawdzić jego „prawomyślność". W związku z tym car polecił Benkendorfowi, aby zaproponował Puszkinowi opracowanie uwag na temat nauczania ludowego. Poeta długo się wahał, radził się w tej sprawie Wiaziemskiego, wreszcie chwycił za pióro. Na końcu rękopisu umieścił napis „Michajłowskoje, 1826, listopad 15" i swój podpis. Czystopis rękopisu został przedłożony carowi, który postawił na marginesach liczne znaki zapytania i, oczywiście, ustosunkował się negatywnie do treści memoriału.

Przez dłuższy czas rękopis przechowywany był u Wiaziemskiego, a w latach siedemdziesiątych trafił do historyka P. Bartieniewa. Później — zaginął. Znalazł się następnie w zbiorach znanego leningradzkiego kolekcjonera S. Markowa. W latach ostatniej wojny Markow wraz z wieloma innymi mieszkańcami Leningradu poszedł na front, a jego żona ewakuowała sie na Ural, biorąc ze sobą kartki rękopisu. Obecnie rękopis znajduje się w Domu Puszkina.

Niedawno też odnaleziony został rękopis Wiaziemskiego poświęcony Fonwizinowi. Na marginesie rękopisu zachowały się sporządzone ołówkiem notatki. Ich dokładna analiza potwierdziła, że wyszły spod ręki Puszkina.

Stwierdzono także, że Puszkin jest autorem notatek i rysunków w książce „Ivanhoe lub powrót z wypraw krzyżowych" Waltera Scotta z 1826 r. W wydanym niedawno „Biuletynie Komisji Puszkinowskiej" ukazał się artykuł T. Ciawłowskiej, która poświęciła wiele pracy badaniom odnalezionej notatki. Na karcie tytułowej książki znajduje się napis dokonany przez poetę, stwierdzający, że książka jest jego własnością. Na jednej z kartek — kilka rysunków, a wśród nich szubienica z powieszonymi dekabrystami. Jest to już piąty znany rysunek A. Puszkina poruszający ten motyw, który tak bardzo wstrząsnął poetą.

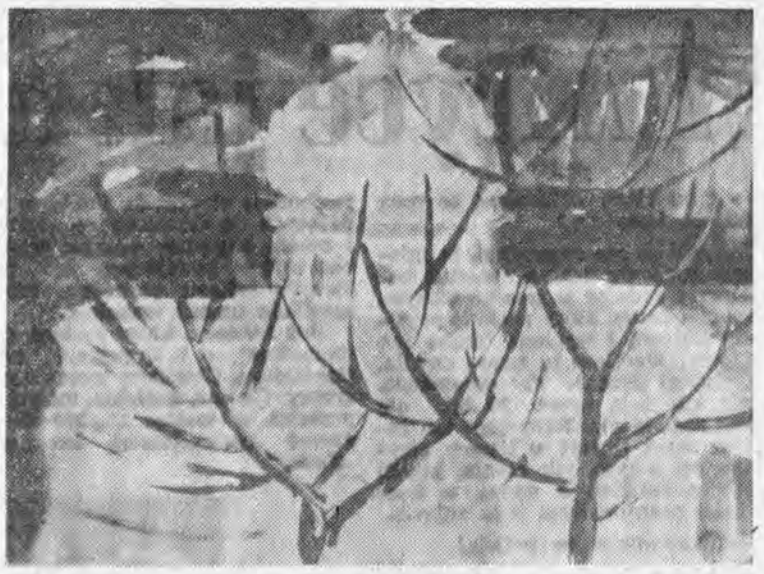

*Renata Niemirska-Pisarek — z serii „Myczkowce".*

*Fot. M. KOPEĆ*

***Józef Janowski***

## *Ręce i myśl*

*Ręce i myśl*
*Ręce uderzanie barw*
*Żyją na rozdawaniu codzienności*
*Same w sobie treść*
*Cała epoka uczłowieczenia*
*Międzyplemienne Międzygwiezdne*

* * *

*Nakładam na twoją twarz*
*kręgi piasku*
*głębię barw*
*i ślad czynię sobą:*
*będzie się sprawdzał*
*w pustym miejscu dnia*
*w odwróconych paleniskach zmierzchu*
*gdzie wsiąka*
*teraźniejszość i teraźniejszość*
*bez wyboru*

ję, że przedstawiciele radzieccy przybędą bez zwłoki...

Wyszedliszy z bramy na Unter den Linden zobaczyliśmy stojący przy trotuarze czarny mercedes. Za kierownicą siedział szofer w ciemnym frenczu i czapce z wielkim lakierowanym daszkiem. Obok niego siedział oficer z dywizji SS Totenkopf.

Na chodniku, oczekując nas, stał urzędnik protokołu ministerstwa spraw zagranicznych w galowym mundurze. Z podkreśloną galanterią otworzył drzwiczki. Ambasador oraz ja, mający pełnić obowiązki tłumacza na tym ważnym spotkaniu, usiedliśmy na tylnym siedzeniu, a urzędnik przysiadł na dostawianym siodełku. Samochód pomknął po pustej ulicy. Z prawa mignęła Brama Brandenburska. Za nią wschodzące słońce pokryło już purpurą świeżą zieleń Tiergartenu. Wszystko zapowiadało jasny, słoneczny dzień...

Wyjechawszy na Wilhelmstrasse z daleka zobaczyliśmy tłum przed gmachem ministerstwa spraw zagranicznych. Choć już było widno, podjazd oświetlony był jaskrawo reflektorami. Dokoła kręcili się fotoreporterzy, operatorzy filmowi, dziennikarze. Urzędnik wyskoczył pierwszy z samochodu i szeroko otworzył drzwi. Wysiedliśmy, oślepieni światłem jupiterów i magnezji. Fotoreporterzy i operatorzy filmowi towarzyszyli nam ciągle. Wybiegali naprzód trzaskając aparatami, kiedy wychodziliśmy wyłożonymi grubym dywanem schodami na pierwsze piętro. Do apartamentów ministra wiódł długi korytarz. Wzdłuż niego stali na baczność jacyś ludzie w mundurach. Przy naszym pojawieniu trzaskali oni obcasami i wyrzucali w górę prawe ręce. W końcu skręciliśmy w prawo i weszli do ogromnego gabinetu ministra. W jednym kącie stało biurko, w przeciwległym — okrągły stół z ciężką lampą pod wysokim abażurem. Wokół niego stało w nieporządku kilka krzeseł.

Za biurkiem siedział Ribbentrop w powszednim uniformie szarawozielonego koloru. Obejrzawszy się zobaczyliśmy z prawa od wejścia grupę urzędników. Kiedy przechodziliśmy przez gabinet, kierując się ku Ribbentropowi ludzie ci nie ruszyli się z miejsca. W ciągu całej rozmowy pozostawali na swoim miejscu. Dzieliła nas dość duża przestrzeń i najprawdopodobniej nie słyszeli nawet tego, co mówił Ribbentrop.

Kiedy podeszliśmy blisko do biurka, Ribbentrop wstał, milcząco kiwnął głową, podał rękę i zaprosił w przeciwległy kąt komnaty, za okrągły stół konferencyjny. Jego twarz była obrzękła, fioletowo-czerwona, oczy mętne z zaczerwienionymi powiekami. Szedł przed nami, opuściwszy głowę i jakby trochę zataczając się. Czyżby pijany — przemknęło mi przez głowę.

Potem, kiedy usiedliśmy przy stole przypuszczenie to potwierdziło się. Najwidoczniej rzeczywiście dobrze wypił.

Nie zdołaliśmy przedłożyć naszego oświadczenia, którego tekst wzięliśmy z sobą. Ribbentrop, podniósłszy głos powiedział, że teraz będzie mowa o czymś zupełnie innym. Jąkając się niemal przy każdym słowie, zaczął zawile tłumaczyć, że rząd niemiecki rozporządza danymi o wzmożonej koncentracji wojsk radzieckich na niemieckiej granicy. Robiąc wrażenie jakby nie wiedział nic o tym, że w ciągu ostatnich tygodni ambasada radziecka niejednokrotnie zwracała uwagę strony niemieckiej na rażące przypadki naruszenia granicy Związku Radzieckiego przez niemieckich żołnierzy i przez samoloty, Ribbentrop oświadczył, że radzieccy wojskowi naruszali niemiecką granicę i przechodzili na niemieckie terytorium, choć fakty takie w rzeczywistości nie miały miejsca.

W dalszym ciągu Ribbentrop wyjaśnił, że przekazuje nam pokrótce treść memorandum Hitlera, którego tekst wręczył nam po chwili. Następnie powiedział, że sytuację jaka się wytworzyła, rząd niemiecki ocenia jako groźbę dla Rzeszy w momencie, kiedy prowadzi ona wojnę na życie i śmierć z Anglosasami. Wszystko to — oświadczył Ribbentrop — uważane jest przez rząd niemiecki i przez samego Führera jako zamiar Związku Radzieckiego naniesienia uderzenia w plecy niemieckiego narodu. Führer nie mógł tolerować takiej groźby i zdecydował podjąć kroki celem zapewnienia życia i bezpieczeństwa narodu niemieckiego. Decyzja Führera jest ostateczna. Godzinę temu wojska niemieckie przekroczyły granicę Związku Radzieckiego.

Następnie Ribbentrop zaczął zapewniać, że działania Niemiec to nie agresja, lecz kroki obronne. Potem wstał i wyprostował się, starając się przyjąć uroczystą pozę. Ale głosowi jego brakło twardości i przekonania, kiedy wypowiadał ostatnie zdanie:

— Führer polecił mi oficjalnie powiadomić o tych obronnych poczynaniach...

Wstaliśmy również. Rozmowa była skończona. Teraz wiedzieliśmy, że pociski wybuchają już w naszych granicach. Wojna była nam oficjalnie wypowiedziana już po dokonaniu rozbójniczego napadu. Tu już nic nie można było zmienić. Przed skierowaniem się do wyjścia ambasador radziecki powiedział:

— To zuchwała, niczym nie sprowokowana agresja. Będziecie jeszcze żałować, że dokonaliście napadu na Związek Radziecki. Okrutnie jeszcze za to zapłacicie...

Skierowaliśmy się do wyjścia. I raptem zaszło coś nieoczekiwanego. Ribbentrop podążył za nami. Zaczął pośpiesznie szeptem zapewniać, że on sam był osobiście przeciwny tej decyzji Führera, że nawet jakoby odradzał Hitlerowi napad na ZSRR. Osobiście, on Ribbentrop, uważa to za szaleństwo. Ale nie mógł niczemu zaradzić. Hitler podjął taką decyzję, nikogo nie chciał wysłuchać...

— Przekażcie w Moskwie, że byłem przeciwny atakowi — usłyszeliśmy ostatnie słowa Ribbentropa, wychodząc już na korytarz.

Znów zatrzaskały migawki aparatów fotograficznych, zaterkotały kamery. Na ulicy, gdzie otoczył nas tłum reporterów, jasno świeciło słońce. Podeszliśmy do czarnej limuzyny, która ciągle jeszcze, oczekując nas, stała przy podjeździe.

W drodze do ambasady milczeliśmy. Myśl wracała do tego, co wydarzyło się w gabinecie hitlerowskiego ministra. Dlaczego był taki nerwowy, ten zdeklarowany faszysta? Przecież podobnie jak i inni wodzireje hitlerowscy był zaciekłym wrogiem komunizmu i odnosił się do naszego kraju i ludzi radzieckich z patologiczną nienawiścią. Gdzie podziała się jego pewność siebie? Oczywiście kłamał, zapewniając jakoby odradzał Hitlerowi napad na ZSRR. Ale co w końcu mogły oznaczać jego ostatnie słowa? Wówczas nie mogliśmy znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Ale teraz, wspominając to wszystko, zaczynam zastanawiać się, czy u Ribbentropa w tym decydującym momencie, kiedy oficjalnie zawiadamiał o decyzji, która doprowadziła w końcu do zguby hitlerowską Rzeszę, nie zrodziło się jakieś mroczne przeczucie... Nie dlatego to przypadkiem pozwolił sobie na większą dawkę spirytualiów?

Podjechawszy do ambasady, zobaczyliśmy, że gmach był pod silną strażą. Zamiast jednego — jak zwykle — policjanta, wzdłuż chodnika wyciągnął się teraz cały łańcuch esesowców.

W ambasadzie oczekiwano nas z niecierpliwością. Na razie nikt nie wiedział, po co wzywał nas Ribbentrop, ale jeden sygnał zmusił wszystkich do zastanowienia się: jak tylko odjechaliśmy na Wilhelmstrasse łączność ambasady ze światem zewnętrznym została przerwana — albo jeden telefon nie działał.

O szóstej rano włączyliśmy radio, oczekując co powie Moskwa. Ale wszystkie nasze rozgłośnie nadawały najpierw lekcję gimnastyki, potem audycję dla pionierów, a w końcu ostatnie wiadomości, zaczynające się jak zwykle doniesieniami z pól i meldunkami o osiągnięciach przodowników pracy. W głowie krążyły trwożne myśli: czyżby w Moskwie nie wiedzieli, że już kilka godzin jak zaczęła się wojna? Czyżby działania na granicy były ocenione jedynie jako pograniczne starcia, chociaż w znacznie większej skali niż te, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich tygodni?...

Ponieważ łączność telefoniczna nie działała, i na rozmowę z Moskwą nie można było liczyć, postanowiliśmy wysłać telegraficznie wiadomość o rozmowie z Ribbentropem. Depeszę miał odwieźć na główną pocztę jeden z pracowników konsulatu samochodem ambasadora z dyplomatyczną rejestracją. Był to nasz wielki ZIS-101, który zazwyczaj był wykorzystywany podczas oficjalnych przyjęć. Samochód wy-

**(Ciąg dalszy na str. 4)**

**Cecylia Błońska**

# W Afryce jak na... naszym Staromieściu

— Oczywiście pojedziesz ze mną teraz do instytutu?

Oczywiście nie odpowiem, że miałabym ogromną ochotę pozostać bodaj przez godzinę w tym mrocznym, ciemnym domu, który pachnie przejrzałą zielenią i wygląda trochę jak muzeum. Weszłam tu przed chwilą, po długiej drodze. O domostwie, gdzie oni żyją przez 26 lat, nie wiem prawie nic. Natomiast ten instytut znam lepiej: w listach pisywano mi o tym, jak rośnie, jakich wymaga trudów; w domu, w Rzeszowie, pozostawiłam jego zdjęcie.

— Oczywiście że pojadę!

Jest upalne południe. Z Nairobi — stolicy Kenii — jedziemy do miejscowości Kabete. Szybko oddala się śródmieście, peryferie, gdzie wśród egzotycznej roślinności nieoczekiwanie wyłania się domek dwurodzinny, jak żywcem przeniesiony z podmiejskiej dzielnicy wielkiej Warszawy. Jesteśmy na terenie instytutu. Wystawiony pod egidą FAO kształci kadrę weterynarzy, zootechników dla całej Afryki, jest organizatorem produkcji przetworów mlecznych, prowadzi, jakby to u nas nazwać, stanice weterynaryjne wprost w buszu.

Wokół kompleksu parterowych budynków, na zielonych trawnikach, rabaty aksamitnych bratków: ta wielka, błękitna makieta o nieregularnym kształcie przed wejściem, to mapa Afryki (na zdjęciu tego właśnie nie mogłam „rozszyfrować").

Pośpieszne oględziny: w ciągu kilku minut jesteśmy w gabinetach lektorów, na sali wykładowej, w części socjalnej, ba, zdołaliśmy nawet zaglądnąć do podręcznego warsztatu stolarskiego. Wczoraj były tu uroczystości otwarcia placówki, dzisiaj kontynuuje obrady afrykańska konferencja w sprawie przerobu mleka, produkcji serów.

Siadam na wielkiej sali przy bocznym stoliku i w chwilę później mam na głowie słuchawki: obrady toczą się w języku angielskim, do mnie dochodzi francuskie tłumaczenie.

W uszach mam jeszcze łoskot odrzutowca (10 mil ang. na minutę), w oczach intensywny błękit jeziora Wiktoria, które rysowało się przed nami rozległe i spokojne, gdy w drodze do Nairobi, na krótki postój lądowaliśmy w Entebbe. Nie chwytam toku obrad, ciągle oddana wspomnieniom tej w swoim rodzaju bajecznej podróży. Widzę jeszcze sporą grupę Afrykańczyków, ludzi starych i młodych, kobiety z niedbale obutymi gołymi stopami, swobodnie niczym do autobusu, wsiadających do samolotu w Entebbe. I potem z gestem pełnym zaufania bez słowa podających mi swoje kwestionariusze podróżne, których sami nie umieli wypełnić.

Głos kobiecy, który rozlega się w słuchawce jest intrygujący, ciepły, tajemniczy. Chwilami wręcz dramatyczny. Co ona, u diabła, mówi? Tak przecież w teatrze zwykło się podawać przynajmniej kwestie z „Fedry".

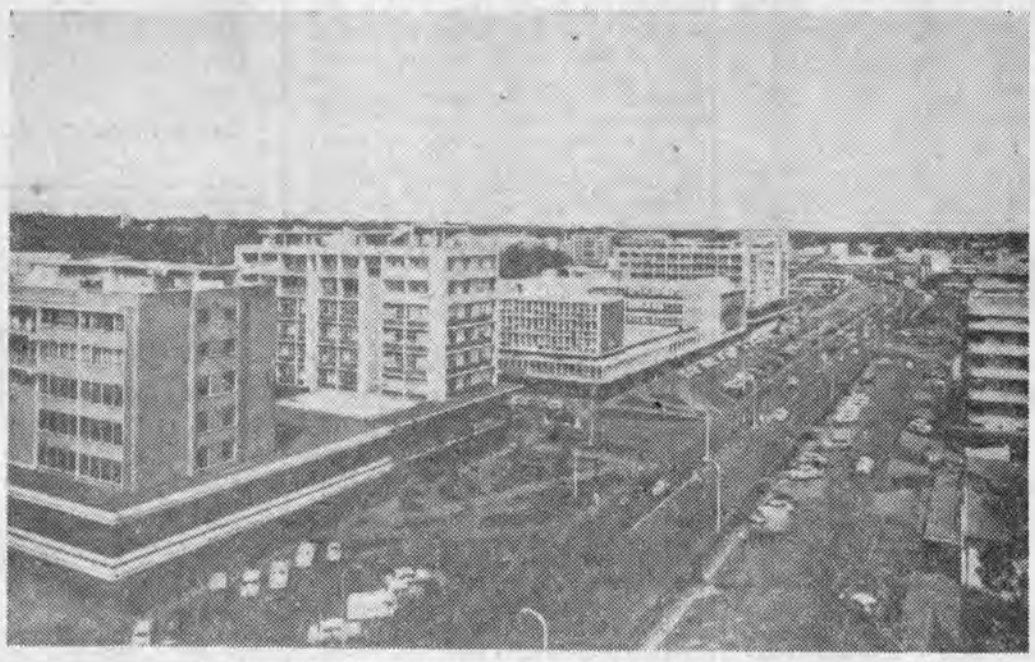

*Szybko mijamy śródmieście afrykańskiej stolicy...*

W ten sposób, na bieżąco, bez zająknienia, przekłada na język francuski wystąpienia uczestników narady. Nie są one bynajmniej banalne. Młoda, czarna kobieta — karta na stole przed nią oznajmia, że reprezentuje Tanzanię — wcale energicznie atakuje prezydium o przydział kredytów na budowę urządzeń mleczarskich. Delegat Madagaskaru, uznając odpowiedni standard nowo wybudowanych zakładów mleczarskich w Mariakani — Mombasa, stwierdza jednak z przekąsem, że gdyby im przyznano również wysokie nakłady...

Więc przypominają mi się trochę nasze budżetowe sesje, zabiegi o kredyty, na nasze wielkie regionalne potrzeby i od razu ta sala, pełna obcych twarzy, odgrodzona od mego miasta tak bezmiernie długą drogą, wydaje mi się bardziej swojska.

Na ścianach wielkie fotosy nawołujące do konsumpcji mleka. Wymowny fotogram małego, mizernego murzyńskiego dzieciątka, a obok znakomicie odżywiony tłusty bobas, ze szklanką białego płynu w ręku. Wykresy, statystyki, a za nami stoisko wyrobów serowarskich. Obracam się i z pliku reklamówek biorę „składankę", polecającą różne gatunki sera. Trochę senny, to znów wibrujący głos w słuchawce, odsłania tajniki dyskusji: jakich to starań, jakich zabiegów trzeba, by w warunkach tropikalnego upału mleko nie fermentowało, by można je przerabiać na słodzone napoje mleczne (więc znowu wypisz, wymaluj, coś a la nasze degustacje i dyskusje w „Staromieściu"). Składanka zachęca do spożywania serów afrykańskich: jest Limburger, jako najnowszy produkt z tak tutaj dyskutowanej mleczarni w Mariakani, jest ser o trochę niezwykłej nazwie Tybo, podobno o niespotykanym aromacie, również spożywcza nowość z pobliża Mombasy.

Są jeszcze końcowe komunikaty o jutrzejszym zwiedzaniu mleczarń w terenie. Ciągle tym tajemniczym „głosem Fedry", omawiając z telefonistką techniczne sprawy dnia jutrzejszego, z kabiny tłumaczy wychodzi stara, znużona kobieta, o krótko przystrzyżonych włosach.

Nazajutrz szosą, która nie poddaje się afrykańskiemu upałowi, jedziemy do Nakuru. Na tej trasie Afryka prezentuje swoje turystyczne atrakcje: olbrzymią przepaść zwaną „Pęknięciem Afryki", w której niejeden nieostrożny automobilista znalazł kres swych wędrówek; wygasły wulkan, a pod nim wysoki las, stanowiący nieodmienny cel wycieczek. Z tego egzotycznego szlaku wpadamy na boczne drogi, wiodące do weterynaryjnej stanicy. Praktykują tutaj młodzi Afrykańczycy, mieszkając w małych, czystych domkach, skromnie i surowo umeblowanych. Ich łóżka skrywa śnieżnej białości moskitiera. Kierownik stacji częstuje nas szklanką... gorącego mleka (nie ma nawet co marzyć, by ono samorzutnie przemieniło się w... pół czarnej).

Wzdłuż drogi ciągną się teraz regularne pastwiska, ogromnym wysiłkiem wydarte buszowi. Pasące się spokojnie krowy, stada wełnistych baranów, wzgórzysty teren, jaki nas otacza, w przedziwny sposób przypominają mi Bieszczady.

— Do czego służą te połączone rury, zainstalowane na pastwisku?

— Do zbierania mleka. Krowy doi się na miejscu, by nie pędzić ich w upał, nie męczyć. — Są to krowy wysoko mleczne, w tych warunkach raczej pokazowe. Szybko rozwiewa się obraz Bieszczadów, kiedy na kraju drogi z gęstwiny niskich drzew ukazał się pawian. Mój towarzysz podróży obrzuca go wesołymi przezwiskami. Zwierzę patrzy nań poważnie, nie mrugnąwszy nawet smutnymi oczyma. No, no — to tylko tak — żartuje mój przewodnik, przecież nie chciałem cię obrazić.

Jest wczesna godzina poranna, na asfalcie szosy nierzadko leży nieżywe zwierzątko. W nocy, zgodnie z prawem dżungli, wielkie bestie pożywiały się „we własnym zakresie".

I już Nakuru, miasteczko znane z wyścigów konnych, trochę jak dekoracja z westernu; małe domki skupione przy drodze, szerokie, barwne, pretensjonalne wystawy, motel, który zaprasza do wypoczynku i odświeżenia się, i dobijający właśnie do stacji długi pociąg z małymi wagonami, który ongiś przyniesiono tu dosłownie na plecach, gdy w tej części Afryki budowano kolejową linię. Wjeżdżamy na podwórze spółdzielczych zakładów mleczarskich pełne złomu, opakowań, próżnych cystern, z czego wnioskuję, że nie wyłączając równika, podworce wszystkich mleczarń na świecie muszą być do siebie podobne.

Stąd eksportowane jest masło topione w puszkach oraz specjalny gatunek afrykańskiego masła solonego, które aczkolwiek nie przydatne do tortów i ciast, stanowi smaczne uzupełnienie śniadania. Czarni robotnicy, technologowie, kierownik — wszyscy w śnieżnobiałych fartuchach — z uwagą uwijają się po halach, obsługują potężne mechaniczne masielnice, nadążają za automatyczną taśmą, na której trochę dwoją mi się i troją w oczach, szybko plombowane puszki z topionym masłem. Ale gospodarze nie zadowolą się samym naszym oglądaniem. Mamy więc już w ręku małą łopatkę drewnianą i chcąc nie chcąc, z potężnej bryły, nabieramy odrobinę masła. Owszem, smaczne, nie, nie za słone. Tylko siąść z nim gdzieś pod lipką z kromeczką czarnego chleba. I mieć spokój, i wielkie podróże z głowy.

Nic z tego! Nie teraz przynajmniej. Wraz z uczestnikami wczorajszej konferencji, z czarno-białą grupą mleczarzy, speców, nie zważając, że upał przykleja mi kostium do pleców jestem już w zawodowym transie zwiedzania: chcę wiedzieć wszystko, chcę widzieć, jak się pakuje masło, jak „znakuje", które zaraz odleci samolotem jako eksportowy produkt. W pakowalni już bez łoskotu maszyn, stary Murzyn, dzierżąc w ręku rzeźbioną deseczkę, na wierzchu każdego kawałka masła, spoczywającego w drewnianej paczce, z namaszczeniem, ręcznie wyciska firmowy emblemat.

— Trzeba skosztować Heddara, no, a kawałeczek Goudy, jak smakuje Gorgonzola? Nie mam ochoty na tę pokazową degustację, której jednak wypadałoby uczynić zadość. Czynię więc, z ciekawością oglądając wnętrze „klubu końskiego" w Nakuru, bo tu właśnie spożywamy obiad, z bufetu nabierając na talerze trochę wędliny, sałaty, małe, ciepłe bułeczki jako podkład do degustacji sera. Wielka, mroczna jadalnia — restauracja z przepastnymi fotelami i wybrzuszonymi kredensami. W sąsiedniej sali obiaduje grupa Afrykańczyków z Hindusami, w białych turbanach. W cichych korytarzach rząd pokoi hotelowych, wielkie toalety wyposażone trochę, tak jak w łańcuckim zamku. „Klub Pickwicka" przeniesiony na pogranicze stepu.

Wracamy okrężną drogą: przed nami jezioro Naiwasha, błękitne i pozłociste. Nad nim różowe flamingi. Widząc je tak zwinne, tak zalotne, niczym tancerki, któż z Polski nie powtórzy za Tuwimem: Flamingu, flamingu, ty ptaku z dansingu...

Nad jeziorem Naiwasha, oddzielony plantacjami warzyw i pomarańczowymi sadami, wznosi się stary dom Rocców. O „matce rodu" tej starej, energicznej kobiecie, którą zastaję wśród grupy ludzi na gwałt pakujących truskawki i szparagi, nikt by chyba nie powiedział, że to znana rzeźbiarka. Widząc jej zalatanie, zahukanego syna, nerwowo upychającego truskawki do przejrzystych, plastykowych pudełek nikt by nie przypuszczał, że tyle dzieł sztuki kryje zaniedbany dom, w którym mieszkają, na pewno nie mając czasu czy chęci, by troszczyć się o jego niszczejące wnętrze.

W gęstwinie grubych, masywnych liści, połyskują w słońcu złociste kule pomarańcz. Wśród drzew uwijają się Murzyni w słomkowych kapeluszach, zapełniając kosze aromatycznym owocem. Jeden podaje mi na otwartej dłoni dwie dorodne pomarańcze. Dziękuję, sama chcę zerwać owoc. No bo jakże to być pod pomarańczowym drzewem i nie sięgnąć po cytrusa bez... kolejki?

— Na propozycję, bym została tutaj do jutra rana (nazajutrz wczesnym rankiem powrócę do Nairobi), bym mogła oglądać zachód słońca nad jeziorem, odpowiadam gwałtowniej niż by wypadało: Nie, absolutnie, nie! I gładkim, zdawkowym frazesem tuszuję tę odmowę, nie wyjaśniając, że przeraża mnie bezmiar tego nieba opadającego daleko na horyzoncie w wielką toń jeziora. I cisza, której wieczorem na pewno bym się bała. To wszystko tak inne od dalekiego stąd świata, który kocham...

— Dlaczego nie chciałaś tam zostać na noc?

Nie mówię nic. Cóż będę tłumaczyć, że dziwaczny, panoramiczny, kolorowy film ogląda się chętnie najwyżej przez dwie godziny. Że nikt nie nocuje... w kinie.

Wracamy. Gdzieś z boku na łące, która nie raziłaby w okolicy Staromieścia, dostrzegam zwyczajnego, białego bociana. Więc ot tak sobie, bez smutku bynajmniej, aby przerwać milczenie, cichutko recytuję Słowackiego.

O lotnych ptakach, widzianych „sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem"...

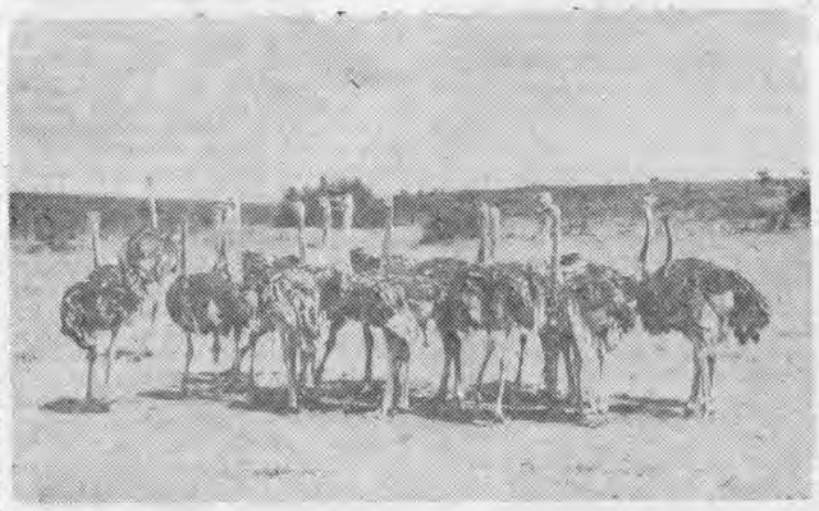

*Bociana spotkać można przy drodze. Strusi już nie. Żyją w rezerwatach, do oglądania za wstępem.*

# W legowisku wroga

(Ciąg dalszy ze str. 3)

jechał za bramę, ale po piętnastu minutach pracownik konsulatu wrócił piechotą sam. Udało mu się powrócić tylko dlatego, że miał przy sobie dyplomatyczny paszport. Zatrzymał ich jakiś patrol. Kierowcę i samochód zatrzymano.

W garażu ambasady obok „zisów" i „emek" stał żółty małolitrażowy samochód „opel-olimpia". Postanowiono posłużyć się nim, żeby nie zwracając uwagi, dostać się na pocztę i wysłać depeszę. Całą tę maleńką operację rozpracowano wcześniej. Kiedy siadłem za kierownicą, wrota otworzyły się i zwinny „opel" na pełnym gazie wyskoczył na ulicę. Obejrzawszy się szybko odetchnąłem z ulgą: przed gmachem ambasady nie było ani jednego samochodu, a piesi esesmani patrzyli za mną bezradnie.

Telegramu nie udało mi się wysłać od razu. Na berlińskiej poczcie głównej wszyscy urzędnicy stali pod głośnikiem, skąd dochodziły histeryczne wykrzykiwania Goebbelsa. Mówił o tym, jak to bolszewicy szykowali Niemcom uderzenie w plecy i jak Führer, postanowiwszy pchnąć wojska na Związek Radziecki uratował niemieckie społeczeństwo.

Przywołałem jednego z urzędników i przekazałem mu telegram. Spojrzawszy na adres wykrzyknął:

— Coś pan? Do Moskwy?! Czy pan nie słyszy, co się dzieje? Nie wdając się w dyskusję poprosiłem go o przyjęcie telegramu i pokwitowanie. Później, po powrocie do Moskwy dowiedzieliśmy się, że depesza nie doszła do miejsca przeznaczenia. Ale zrobiliśmy, co było w naszych siłach...

Skręciwszy z Friedrichstrasse na Unter den Linden zobaczyłem, że przed gmachem ambasady stoją cztery wojskowe samochody, pomalowane na ochronny kolor. Esesmani wyciągnęli widać wniosek ze swego gapiostwa.

W sali na pierwszym piętrze kilka osób stało przed radioodbiornikiem. Jednak radio moskiewskie ani słowem nie wspominało o tym, co się stało. Zszedłszy w dół, z okna gabinetu zobaczyłem, jak po chodniku biegali chłopcy wymachując nadzwyczajnymi wydaniami gazet. Wyszedłem za bramę i kupiłem kilka. Były tam już wydrukowane pierwsze zdjęcia z frontu: z bólem serca oglądaliśmy naszych radzieckich żołnierzy — rannych, zabitych... W komunikacie niemieckiego dowództwa podawano, że w nocy niemieckie samoloty bombardowały Mohylów, Lwów, Równe, Grodno i inne miasta. Widoczne było, że hitlerowska propaganda usiłuje stworzyć wrażenie, że wojna będzie krótkim spacerem...

Znów i znów podchodzimy do radioodbiornika. Skądś, jak poprzednio, dochodzi muzyka ludowa i marsze. Dopiero o godzinie dwunastej czasu moskiewskiego usłyszeliśmy oświadczenie rządu radzieckiego:

— Dziś o godzinie czwartej rano, bez przedłożenia jakichkolwiek pretensji wobec ZSRR, bez wypowiedzenia wojny, niemieckie wojska napadły na naszą ojczyznę... Nasza sprawa jest słuszna. Wróg będzie rozbity. Zwycięstwo będzie nasze.

...„Pabieda budiet za nami"... „Nasze dieło prawoje"... Słowa te płynęły z dalekiej ojczyzny do nas znajdujących się w samym legowisku wroga.

Przełożył:
WITOLD SZYMCZYK

# 50 premiera teatru ZDK w Stalowej Woli

*Na pierwszym planie odtwórcy głównych ról w „Królewnie Śnieżce" — BARBARA MOSPAN i STANISŁAW SĄDEJ. Fot. W. SOWA*

25 czerwca br. odbędzie się w ZDK premiera teatralna powieści Romana Bratnego „Kolumbowie" wg adaptacji scenicznej Adama Hanuszkiewicza. W tej chwili wszystko jest zapięte na przysłowiowy ostatni guzik, panuje przedpremierowe podniecenie. To samo pytanie:„ Jak wypadniemy"? — zadaje sobie reżyser widowiska Józef Żmuda, scenograf Tadeusz Grabara i blisko 50 wykonawców. Nie dziwimy się, odpowiedzialność tym razem jest szczególnie duża. „Kolumbowie" reprezentują bowiem Stalową Wolę na Festiwalu Kulturalnym Związków Zawodowych. W dodatku obecna premiera jest jubileuszową, 50 premierą Teatru ZDK. Bądźmy jednak dobrych myśli, tym bardziej że poprzednia sztuka „Królewna Śnieżka" przeznaczona szczególnie dla najmłodszych widzów została wysoko oceniona przez festiwalową komisję. Złożyła się na to dobra reżyseria Józefa Żmudy, śliczna scenografia Tadeusza Grabary, odpowiednie tło muzyczne, które opracował Jerzy Dobrzański i gra całego zespołu, która zwłaszcza w części drugiego aktu (w domku krasnoludków), jest prawdziwym majstersztykiem kunsztu aktorskiego.

(so)

*No i nareszcie znalazł się w programie ogólnopolskim rzeszowski zespół DK WSK — „Meluzyna" w środowym koncercie laureatów Festiwalu Poezji K. I. Gałczyńskiego w Szczecinie. Przyjemność rzeszowian byłaby rzeczywiście pełna, ponieważ „Meluzyna" występowała jako jedyny zespołowy laureat w otoczeniu kilku naprawdę dobrych recytatorów (pięknie mówione fragmenty „Dużego koncertu skrzypcowego" z poematu „Niobe", przez reprezentantkę Torunia — to była uczta!), niestety, częściej w miejsce miłych bohaterów wieczoru podsuwano nam przed oczy straszliwe okropieństwo z zygzakami i koślawym napisem „przepraszamy za zakłócenia", a perełki dowcipu zielonogęsiowego brzmiały przy zniekształconej fonii faktycznie jak autentyczne gęganie. Szkoda i diabli biorą, że jedyna okazja, jaką dała tv dobremu zespołowi rzeszowskiemu została spaskudzona przez techniczne usterki, który to termin w 13 roku istnienia telewizji najwyższy czas byłoby zlikwidować.*

*Kontentowaliśmy się „Meluzyną" i tak, mimo nie i na przekór im; byliśmy tylko zgorszeni nieatrakcyjną godziną nadania tego programu (któż tam w zwykły środowy wieczór, o godzinie 22, jest w stanie smakować poezję?), który zupełnie śmiało mógłby wejść, jako już naturalnie powtórzenie, do repertuaru sobotniej rozrywki kulturalnej, na dobrym poziomie, z dobrymi wykonawcami i prześwietnym poetą — tym, co to nigdy go nie dosyć słuchać.*

*Innego — prześwietnego wieszcza już — zaproponowała nam Osiecka w swoich „Listach śpiewających" w czwartek — w programie tyleż interesującym, co oryginalnym i rzeczywiście oscylującym w stronę czystej formy telewizyjnego widowiska. Zajaśniały te autentyczne listy Słowackiego pełnym blaskiem nieporównanie doskonałej formy, pięknieły zdania, dźwięcząc potoczystą frazą w ustach Boukołowskiego, który w Julkowym kołnierzu kokietował słuchaczy romantycznym gestem i z odrobiną drwiny, wymieszanej z goryczą powierzał im sekrety własnych prostracji. Świetny aktor miał równie świetnych partnerów, bo i Ludwiżanka znakomicie dzieliła się swymi kłopotami starej panny i para Prucnal-Olbrychski, poza niewątpliwym wdziękiem, śpiewała swoje listy pięknie. Sam zaś pomysł Osieckiej wart pochwały naprawdę dużej, gdyż coraz bardziej widoczna w nim forma kabaretu kwalifikuje te „Listy" w miejsce niezapomnianych „Starszych panów". I z nich bowiem zaczyna emanować atmosfera tamtego dowcipu, opartego na inteligencji, sentementalnej drwinie i miłym optymizmie. O piosenkach, zwłaszcza tej „Od pierwszego wejrzenia", powiem, że żal to straszny, iż przemijają jak efemerydy wraz z audycją, że nie wracają do nas w formie krótkich przerywników zastępując Piotra, co to nie wiadomo skąd ma takie oczy, mruczanego przez Rolską, czy „Zza siedmiu ulic" przychodzącą panią Santor — co, jak jeszcze raz zobaczę i usłyszę, skłoni mnie pewnie do zmiany zawodu, żeby brzydko nie pisać publicznie o takiej formie ozdobników telewizyjnych.*

*Dawno oczekiwana audycja Ambroziewicza i Wójcika — „Bez apelacji" przyniosła w tym tygodniu zupełnie oryginalny temat sportowca i uchyliła nam rąbek tajemnic naszego sportu w ogóle. Niebagatelny problem piłkarza-gwiazdy, na której sławę pracowały pieniądze i trenerzy macierzystego klubu, a która dziś widzi przed sobą perspektywy amerykańskich dolarów — jest rzeczywiście trudny do rozstrzygnięcia. Klub ma rację, że za wszelką cenę pragnie zatrzymać wychowanka; ten zaś z kolei, jako wolny obywatel, ma prawo decydować sam o swojej przyszłości. Rzecz może jednak nie byłaby warta dużych słów, gdyby przy okazji nie wybijał się na plan centralny sposób, w jaki zwykło dochodzić się u nas do gwiazdorstwa sportowego, gdyby nie zahaczała o zagadnienie spontu amatorsko-masowego, gdyby nie anonsowała problemu kibica sportowego, który przecenia sport widowiskowy (tym samym gwiazdy) a człowieka sport uprawiającego (co popularnością pierwszej formie adoracji sportu nigdy nie dorówna).*

*Ciekawa audycja, w której i Ambroziewicz, i przedstawiciele władz sportowych, nieco zaciekrzewieni, szukają przyczyn i rozwiązań, c h y b a dążących do uzdrowienia niektórych stron życia sportowego w Polsce. Piszę — chyba, bo wiele tu niejasności, niebezpiecznych chwytów i właściwie sporo wątpliwości, czy rzeczywiście idzie o piękną rzymską dewizę „in corpore sano, animus sanus".*

*Natomiast problem czy istnienie, względnie ujawnienie plotki literackiej ma istotne znaczenie w percepcji literatury oraz w badaniu osobowości pisarza, pokazał nam wtorkowy program poświęcony najnowszej książce o Hemingway'u, która narobiła wiele hałasu i której autor został pozwany do sądu przez żonę pisarza. Nie znamy oczywiście całego materiału plotkarskiego, zawartego we wspomnieniu o wielkim pisarzu, którego nagła śmierć tak bardzo intrygowała współczesnych; ale czy sam Hemingway w swoich paryskich wspomnieniach np. o Gertrudzie Stein czy Scotcie Fitzgeraldzie nie plotkuje zawzięcie? Czy z kolei te plotki o autorze „Wielkiego Gatsby" nie wyjaśniają w jakiś sposób pewnych psychologicznych momentów tej niesamowitej i dziwnej prozy? Czy nie przegrał swego procesu z Francoise Gillot sam wielki Picasso? Nie ma bowiem żadnej stałej granicy rzeczy dozwolonych i wzbronionych, gdy idzie o autentyczny talent, o twórczą wielkość i niewiele na to można poradzić, że obie te wartości są własnością odbiorców. I chyba to dobrze?*

*KRYSTYNA*

**P. S. Pani Irena Dziedzic, z wielkim wdziękiem czytająca swoje partie w Dzienniku, jako jedna jedyna z lektorów coraz częściej bywa niepokojona wiadomościami z ostatniej chwili. Że to Dziennik, nie zawsze przecie atrakcyjny, urozmaica — za to już słowo wdzięczności się należy, że przy tym przydaje się na coś zawsze dotychczas milczący telefon — też chyba nieźle. Irenie Dziedzic zatem — zawsze stojącej na wysokości zadania (nawet w bałaganie, kiedy nie wie, co zapowiedzieć) — należy się publiczne uznanie.**

◆ Polemiki ◆ Korespondencje ◆ Polemiki ◆ Korespondencje ◆

# Nie stosować uników

W odpowiedzi na mój felieton o sytuacji w rzeszowskich zakładach gastronomicznych pt. „Nie odstraszać", drukowany w Widnokręgu w dniu 22 V 1966 r. redakcja „Nowin Rzeszowskich" otrzymała wyjaśnienie z Wojewódzkiego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Handlowych w Rzeszowie. W nadesłanym nam piśmie dowiadujemy się, iż po felietonie dokonano w dniu 23 V br. kontroli miejskich placówek gastronomicznych.

**„W wyniku kontroli stwierdzono, że kawiarnia „Pstryczek" oprócz posiadania na stanie wód leczniczych (zakład wytypowany do sprzedaży takich wód jak „Józefina", „Tytus", „Śniadecki", „Stefan" oraz „Zuber"), również posiada wody mineralne, jak np. „Kryniczanka". Dostawa Kryniczanki miała miejsce w dniu 29 IV 1966 r. i w dniu 23 V 1966 r. stwierdzono, że lokal posiada w zapasie 6 skrzynek tj. 218 butelek, a więc konsumenci zamawiający wody mineralne winni byli je otrzymać".**

Dalej czytamy...

**„Zachowywanie się młodzieży w wyżej wymienionej kawiarni zmusiło Dyrekcję do zdjęcia kotar z okien, w wyniku czego stwierdzono, że istotnie nastąpiła poprawa w zachowaniu się niektórych niesfornych konsumentów. Jednak z uwagi na duże upały kotary te zostały z powrotem założone i będą zaciągane w dni upalne, natomiast w godzinach wieczornych odsłonięte, aby w ten sposób oddziaływać profilaktycznie na zachowanie przebywającej tam młodzieży w godzinach wieczornych"...**

Następnie dowiadujemy się, że...

**„Działalność rozrywkowa prowadzona w kawiarni „Kosmos" nie zadowalała większości konsumentów, mimo iż koncertujący muzyk miał odpowiednie przygotowanie fachowe, dlatego też Dyrekcja Rzeszowskich Zakładów Gastronomicznych pismem z dnia 11 V 1966 wypowiedziała mu pracę."**

I wreszcie...

**„W uruchomionym barze dietetycznym przeprowadzono również kontrolę i stwierdzono, że produkowane są tam śniadania, obiady i kolacje. Przygotowywanie posiłków odbywa się na podstawie receptur opracowanych przez prof. Szczygła w książce pt. „Dietetyka praktyczna".**

Dalej pismo stwierdza, iż nie mogło się zdarzyć, by w barze oferowano łazanki z kapustą czy placki ziemniaczane, gdyż nie należą one do potraw dietetycznych oraz, że w dniu kontroli dań sporządzanych z cielęciny nie brakowało — można było otrzymać cielęcinę w potrawce, pulpety cielęce, sztukę mięsa, cielęcinę gotowaną z masłem itd. „W związku z powyższym" — czytamy — „należy stwierdzić, że zarzuty postawione w felietonie, a dotyczące baru dietetycznego były nieprawdziwe".

Bardzo dobrze się stało, iż Wojewódzkie Zjednoczenie Przedsiębiorstw Handlowych potraktowało poważnie felieton „Bywalca" i dokonało kontroli dla sprawdzenia zarzutów. Mniej cieszy fakt, iż aby nie przyznać zupełnej słuszności krytyce zastosowano rozmaite uniki i dyplomatyczne przemilczenia. Stwierdzam bowiem z całą odpowiedzialnością, iż „Pstryczek" (mimo iż wytypowano go na kawiarnię prowadzącą sprzedaż wielu wód mineralnych) w dalszym ciągu bardzo często nie sprzedaje ani jednego gatunku. Nie tylko, iż nikt z klientów nie widział „Józefiny", „Tytusa" czy „Stefana", ale bardzo rzadko widzi się „Kryniczankę" czy „Wysowiankę". Czasem brak również wody stołowej, cytrowitu i pidwa (w dniu 13 VI br.) — można jedynie otrzymać sok pomarańczowy i płynny owoc. W piśmie nie otrzymaliśmy odpowiedzi na pytanie, jak to jest możliwe, że wodę „Zubera" z przestrogą na etykiecie, iż wydaje się ją tylko z przepisu lekarza, podawało się w „Pstryczku" jako zwykłą wodę mineralną.

Wychowywanie młodzieży za pomocą kotar niewiele pomogło skoro w ubiegłym tygodniu tuż przy drzwiach lokalu odbyła się bójka i próba samobójstwa dokonana przez młodzieńca z „Pstryczka", kilka tygodni temu w niedzielę w południe, ciężko pobito przed kawiarnią przechodnia (także młodzieńcy z „Pstryczka") i to samo stało się w dniu 11 V br. We wszystkich tych wypadkach wzywano Pogotowie Ratunkowe. Ileż trzeba optymizmu, by stwierdzać, że w wyniku zdjęcia kotar nastąpiła poprawa w zachowaniu się tej młodzieży.

W sprawie baru dietetycznego różnica zdań polega na tym, iż ja odwiedzałem ten lokal w pierwszej połowie maja, wkrótce po otwarciu (felieton ukazał się w maju), a komisja kontrolująca pod koniec maja. W ciągu miesiąca wiele mogło się zmienić i istotnie zmieniło się na lepsze. Ale jednak zarzuty pod adresem baru nie były gołosłowne w początkach jego istnienia. Nie było tam wtedy tyle potraw z cielęciny jak w dniu kontroli. Może istotnie w spisie dań nie było łazanek czy placków, lecz to nie zmienia istoty rzeczy.

Nie wiem czy komisja kontrolująca stwierdziła, że ogólny poziom rzeszowskiej gastronomii jest bardzo niski i kompromituje Rzeszów w oczach zarówno jego mieszkańców jak i przybyszów, których tak wielu w sezonie turystycznym do nas przybywa. A przecież przede wszystkim o to felietoniście chodziło. Niestety pismo wyjaśniające, skrupulatnie unika odpowiedzi na to pytanie.

„Bywalec"

# „Frontem do przyrody"

W związku z felietonem „Frontem do przyrody" zamieszczamy wyjątki pisma skierowanego do nas przez Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie Przedsiębiorstwo Państwowe w Dębicy:

„Załoga i Dyrekcja Zakładów Jajczarsko-Drobiarskich w Dębicy po zapoznaniu się z treścią „felietonu" zamieszczonego w Tygodniku Kulturalnym „Widknokrąg" nr 23 z dnia 12 VI 1966 r. czuje się w obowiązku zgodnie z prawdą i jawnością życia społecznego, wyjaśnić co następuje:

— Zakłady nasze nigdy jeszcze nie organizowały wycieczki krajoznawczej na teren Bieszczadów. Zatem pełen przygód opis wycieczki jest jedynie wytworem bujnej wyobraźni i inwencji twórczej autora, co zresztą uważamy za rzecz godną pochwały w tego rodzaju „felietonach humorystycznych".

— Istotnie nasze Zakłady za zgodą zakładowych czynników społeczno-gospodarczych zakupiły 4 sztuki motocykli marki SHL-175, a nie „Junak 350".

Obiektywnie i z zażenowaniem wypada nam się przyznać, że decyzję na zakup motocykli podjęliśmy zbyt pochopnie i bez dokładnego rozeznania w tym kierunku. Z tego błędu wyciągnęliśmy już wnioski, które stosując w naszej pracy pozwolą nam lepiej i wszechstronniej analizować takie lub temu podobne sprawy.

Na tle opisanej przez nas, a prawdziwej sytuacji wypada nam stwierdzić, że „felieton" spełnił swoją rolę przez wytknięcie nam owych nieszczęsnych motocykli, jak również nas i wszystkich czytelników swoim dobrym humorem ubawił. Prosimy jednak o poinformowanie czytelników Waszego poczytnego pisma o tym, że Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie w Dębicy nie mają żadnych doświadczeń w organizowaniu wypoczynku tak jak to sugerowano w „felietonie", lecz wręcz przeciwnie dysponujemy dużym doświadczeniem, jeśli chodzi o odpoczynek ludzi pracy w dobrym tego słowa znaczeniu".

Rada Robotnicza przy Zakładach Jajczarsko-Drobiarskich w Dębicy.
Dyrektor Zakładu E. Szydło
Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Spożywczego i Cukrowniczego Rada Zakładowa przy Zakładach Jajczarsko-Drobiarskich w Dębicy

* * *

Istotnie opis wycieczki w Bieszczady jest krytycznym uogólnieniem w stosunku do wszystkich organizatorów tego rodzaju wypoczynku, co zresztą zostało właściwie zrozumiane przez załogę Zakładów Jajczarsko-Drobiarskich.

red. „Albośmy to Cacy-Cacy"

**MIKOŁAJ CABAN: Powrót zza rzeki Styks,** Iskry W-wa 1966, s. 383, cena 20 zł. Wyd. II uzup. Posłowie: W. Sulewski.

Jeszcze jedna pozycja literatury pamiętnikarskiej dotycząca Lubelszczyzny. Omawia w niej autor działalność Batalionów Chłopskich, pokazuje życie więźniów w obozie koncentracyjnym w Majdanku, dotyka m. in. skomplikowanych stosunków polsko-ukraińskich w latach 1939—1944.

**ERNEST HEMINGWAY: Pożegnanie z bronią.** W-wa 1966, PIW s. 322, cena zł 20.

Trzecie z kolei polskie wydanie powieści znakomitego prozaika amerykańskiego. W losach bohaterów, przeżywających pierwszą wojnę światową ukazuje całe okrucieństwo i bezsens wojny. Potoczysta fabuła, świetna charakterystyka postaci.

**JANUSZ KOŁCZYŃSKI, ZBIGNIEW WIKTOR: Raport Komisji Warrena. Fakty i opinie.** W-wa 1966, KiW s. 226, cena zł 14.

Pozycja publicystyczna, której autorzy omawiają sprawozdanie specjalnej komisji, działającej pod przewodnictwem głównego sędziego Stanów Zjednoczonych Earla Warrena, komisji, która ustalić miała okoliczności śmierci prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki — J. F. Kennedy'ego. Autorzy komentują raport komisji, cytują głosy prasy zagranicznej oraz przytaczają wypowiedzi wielu wybitnych prawników i polityków.

**STANISŁAW GRZYBOWSKI: Marcin Luter.** W-wa 1966, KiW s. 336, cena zł 10.

Jeszcze jeden tomik z serii popularnonaukowej biblioteczki „Światowida". Przystępnie kreśli tło niemieckiej reformacji oraz biografię Lutra, jego poprzedników i postaci, z którymi łączy się historia tego ruchu w Europie.

**WŁ. GÓRA, ST. STROŃSKI: Byli z nami.** O działalności radzieckich partyzantów na ziemiach polskich. W-wa 1966. MON, s. 523, cena zł 28.

Wspomnienia dotyczące bezpośrednio udziału lub też współpracy obywateli radzieckich i radzieckich jednostek partyzanckich z polskim, głównie lewicowym ruchem oporu. Wiele nieznanych, interesujących szczegółów dotyczących ruchu partyzanckiego w II wojnie światowej na terenie Polski.

**STEFANIA GRODZIEŃSKA: Spotkanie ze mną.** W-wa 1966, „Iskry" s. 198, cena zł. 20.

Nowy tomik z serii „Biblioteka Stańczyka". Autorka jeżdżąc po całej Polsce nawiązała podczas spotkań autorskich bliski kontakt z czytelnikami. Odbiciem tego wyjątkowo bliskiego kontaktu jest niniejszy tomik, niezwykle dowcipny w komentarzu do poszczególnych obrazków.

**BERNARD I JOYCE LOVELL: Odkrywanie dalekiego wszechświata.** W-wa 1966, PWN s. 174 cena zł 10.

Tom z serii „Omega". Autorem jest jeden z najwybitniejszych współczesnych astronomów, profesor Uniwersytetu w Manchester. Książka jest jednym z wprowadzeń do radioastronomii. O gwiazdach, galaktykach, o zastosowaniu radioastronomii np. do kierowania sztucznymi satelitami.

**WIESŁAW MYSŁEK: Wierzący i socjalizm,** W-wa 1966 KiW, s. 153, cena zł 6. Seria: Problemy, polemiki, dyskusje.

**STANISŁAW JERZY LEC: Fraszkobranie.** W-wa 1966, ISKRY s. 95, cena zł 25.

Nowy tomik doskonałych fraszek niedawno zmarłego autora „Myśli nieuczesanych". Z nastrojem tych arcydzieł — miniaturkowych satyr — doskonale harmonizuje opracowanie graficzne tomiku przygotowane przez Jana Młodożeńca.

**Z postępowych tradycji oręża polskiego 1917—1939.** W-wa 1966, MON s. 427, cena zł 19.

Praca zbiorowa pod red. Ignacego Pawłowskiego. W sposób popularny przedstawia dzieje polskich formacji rewolucyjnych walczących w obronie Rewolucji Październikowej, dzieje Czerwonej Gwardii, Milicji Ludowej PPS, powstania wielkopolskiego i powstań śląskich. Opisuje udział Polaków w rewolucji węgierskiej 1919 i w wojnie hiszpańskiej 1936—39 r.

**ALEKSANDER ROWIŃSKI: Wstąpcie do klasztoru.** W-wa 1966, ISKRY s. 175, cena zł 10.

Trzy świetnie napisane, wprost sensacyjne reportaże, których tłem akcji są klasztory żeńskie. Autorowi udało się poznać część prawdy z życia toczącego się za tajemniczą klasztorną bramą. Stało się to dzięki relacjom osób, które żyjąc w murach klasztornych były krzywdzone. I właśnie przeciwko krzywdzie ludzkiej skierowane są zamieszczone w tomiku utwory.

## Na naszym ekranie

# Anastazja Wertyńska

*Przed „Hamletem" wystąpiła zaledwie w dwóch filmach, nic więc dziwnego, że jej nazwisko w czołówce ekranowej wersji szekspirowskiego dzieła nie mówiło nic nikomu. Każdy widz jednak, opuszczając kino znajdował się nie tylko pod wrażeniem kreacji Smoktunowskiego — Hamleta, ale był także zachwycony lub co najmniej zdumiony Ofelią, którą grała ta dziewiętnastoletnia dziewczyna.*

**A. Wertyńska i I. Smoktunowski w filmie „Hamlet".**

*Była zupełnie odmienna od wszystkich swych poprzedniczek na scenie czy ekranie. Jej Ofelia nie była jedynie bezwolną, słabą, naiwną ofiarą intryg. Jak przystało na kobietę, w której mógł zakochać się duński królewicz Ofelia Wertyńskiej była istotą mądrą, szlachetną i dumną, protestującą przeciwko otaczającemu ją złu, była człowiekiem przez duże C, a nie głupiutką laleczką snującą się po krużgankach zamku w Elsinorze.*

*Dla wielu widzów taka Ofelia była szokiem, ale przecież nie mogli nie pomyśleć o aktorce, która właśnie tak zbudowała tę postać, o przyczynach, jakie ją do tego skłoniły i o wspaniałym efekcie, jaki dała jej praca.*

*Krytycy z wielkim uznaniem pisali o Wertyńskiej, zaznaczając, że była godną partnerką Smoktunowskiego, a byli i tacy, którzy właśnie jej kreację uznawali za najwspanialszą w pięknym filmie Kozincewa.*

*Anastazja Wertyńska pochodzi z rodziny o artystycznych tradycjach. Jej ojciec Aleksander Wertyński, przyjaciel słynnego Iwana Mozżuchina był aktorem, poetą i kompozytorem, matka z zawodu plastyczka także występowała w filmach (m. in. widzieliśmy ją jako kobietę - ptaka w filmie „Sadko"). W ślady rodziców poszła starsza córka Marianna, którą niektórzy czytelnicy pamiętają zapewne z filmów „Wiele hałasu o nic", „Rok przestępny", czy „Mam 20 lat".*

*Anastazja pierwszy raz stanęła przed kamerą w roku 1960, kiedy miała jeszcze 16 lat i uczęszczała do dziewiątej klasy szkoły podstawowej. Wystąpiła wówczas w roli Assol bohaterki pięknej opowieści Aleksandra Grina „Szkarłatne żagle", którą przeniósł na ekran znany reżyser, twórca pięknych bajek filmowych Aleksander Ptuszko.*

*Drugim jej filmem był bardzo popularny w Związku Radzieckim, a także i u nas „Diabeł morski". Zagrała tu rolę dziewczęcej bohaterki filmu Guttiere, co przyszło jej tym łatwiej, że doskonale pływa i nurkuje i w ogóle jest bardzo wysportowana (gra m. in. w koszykówkę i jeździ na łyżwach).*

*Po tych dwu filmach przyszła propozycja zagrania Ofelii. Kiedy rozpoczęły się prace nad Hamletem Anastazja kończyła 18 lat, stawała się dopiero dorosłym człowiekiem, a tu od razu tak odpowiedzialne zadanie. Toteż przygotowała się do roli ukochanej duńskiego królewicza z wielką starannością.*

*— Żeby głębiej przeniknąć w obraz Ofelii — mówiła później—przeczytałam tragedię w oryginale i nauczyłam się swojej roli właśnie w języku angielskim. Przecież lepiej można zrozumieć autora, jeśli poznaje się z jego dziełem bez tłumacza".*

*Ale nie tylko u Szekspira szukała młodziutka aktorka odpowiedzi na swoje wątpliwości. Szukała ich także na płótnach wielkich mistrzów Odrodzenia, w twarzach, gestach utrwalonych przez nich współczesnych im kobiet i dziewcząt.*

*Wiele zawdzięcza reżyserowi Kozincewowi, a także swoim partnerom — Tołubiejewowi, Elzie Radzin grającej królową oraz Smoktunowskiemu, który ciągle szukając nowych środków wyrazu, ciągle improwizując na planie zarażał ją swoim zapałem, pomagał odnajdywać nowe właściwe sposoby odtwarzania Ofelii, podpowiadać cechy jej charakteru. Im bliższa i zrozumiała stawała się aktorce jej bohaterka, tym bardziej lakoniczna, opanowana i skupiona była jej gra. Efekty tego widzieliśmy w kinie.*

*Ponad 50 lat już pojawia się w czołówkach filmowych nazwisko Wertyńskich. Córki kontynuują tradycję rodziców. Obie uczęszczają do szkoły aktorskiej im. Szczukina, występują na scenie teatralnej, grają w miarę czasowych możliwości w filmach. Niezapomnianą odtwórczynię roli Ofelii zobaczymy na ekranie w reżyserowanej przez Sergiusza Bondarczuka nowej filmowej wersji wielkiej powieści Lwa Tołstoja „Wojna i pokój". Anastazja gra tutaj księżnę Lizę Bołkońską.*

*JÓZEF RYŚ — artysta ludowy z Łąki.*
*RYS. J. SIENKIEWICZ*

# Jacy to pobożni między nimi się trafiali

Pośród nieprzebytych borów, opasany i broniony trzęsawicą, wznosił się potężny zamek. Wszystko wkoło: las, woda, łąka czy pole — do magnata należało. W zamku był ogromny przepych, a ze szczególnym bogactwem urządził jego właściciel w nim kaplicę. Bogu w tym skarbcu obłudnik za wszystko zwykł był dziękować.

Raz objeżdżał swoje dobra i walił chłopów nahają, a nawet w przystępie szału tego i owego pańszczyźniaka tak nie chcący sobie zabił i jak gdyby nigdy nic, w takiej gospodarskiej miedzy ludem krzątaninie — trafił na leśnej porębie przed tych dwoje.

Ojciec z dwojaczków wyjadał, co na obiad przyniosła mu jego córka, a dziewczyna, że smakuje się cieszyła. Magnata rozsierdził bardzo na pniaku zajadający strawę drwal, ale zachwycila bardziej piękność siedzącej u kolan rodziciela. To smagnął ojca przez łeb swą nahają, a córkę porwał na siodło i po koniu. Ale drwal za złotą uzdę konia złapał i lamentuje o dziecko. Magnat mieczem chłopa ciął, a z dziewczyną jak z rusałką pognał galopem do zamku.

W komnatach sługom rozkazał różami wypachnić łoże, sam zaś do kaplicy poszedł — za stworzenie takie cudne Panu Bogu podziękować.

A gdy na różanym łożu po modlitwie zaczął z dziewki chusty drzeć, ta się pomodliła także i stała się rzecz okropna! Zadrżała ziemia w posadach i zamek do bagien z trzaskiem jeno chlupnął.

---

Obecnie spora łysina na mokradle daje poznać, gdzie się wznosił, a gdy przyłożyć tam ucho, słychać z piachu głuchy jęk. To ten magnat potępiony lamentuje.

Opowiedział WŁADYSŁAW PŁONKA z Rzeszowskiego
Opracował WŁADYSŁAW DŁUGOSZ

# O chochliku drukarskim

Chochlik drukarski, nieodłączny towarzysz książki i prasy, płatał, płata i będzie płatać nadal swoje figle, częstokroć bardzo nieprzyjemne. Przy końcu XVIII wieku Marcin Molski, zasłużony uczestnik Insurekcji Kościuszkowskiej, pułkownik wojsk polskich i jednocześnie bardzo kiepski poeta (poemat „Stanisławida", „Pisma"), zwrócił się nawet ze specjalnym wierszykiem do warszawskich zecerów i korektorów, zaczynającym się od słów: „Mości panie typografie! Ja ci w główniejszy błąd trafię". Ów wiersz z błagalną prośbą o uwagę przy składaniu kończyło życzenie: „Drukuj w Polsce Polakom — i przestań na sławie, żeś się pięknością druków zasłużył Warszawie".

W latach pięćdziesiątych XIX wieku „Gazeta Warszawska" donosząc o spotkaniu w Kaliszu cara Mikołaja I z królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem IV, napisała, że do Kalisza przybyła również „krowa pruska" zamiast „królowa pruska". W dziewiętnastowiecznym dziele treści religijnej wydrukowano, że „Judasz sok wynosił", co miało znaczyć „Judasz sakwy nosił". Pewien zbiór kazań przekręcił cytat z księgi „Genezis", podając, iż „Kto by zabił Kaina, baran będzie" zamiast naturalnie „karan będzie". W artykule w „Poradniku językowym" z r. 1906 twierdzenie, że poezja dziś upadła, ukazało się w formie „poezja dziś upadła".

W pierwszym dziesięcioleciu naszego wieku powieściopisarz i malarz Ludwik Stasiak umieścił w tygodniku „Wędrowiec" dowcipny felieton o tym, jak to autor spróbował wprowadzić do języka literackiego staropolski rzeczownik „jużyna" (niegdyś oznaczający „kolacje") i zachowany jedynie w gwarze góralskiej. W zdaniu „Dziewczęta, śmiejąc się, jadły wesoło jużynę", zamieniano mu w drukarni uporczywie i stale słowo „jużynę" na „jarzynę". Nie pomagały prośby i groźby, tłumaczenia i perswazje — zamiast „jużyny" figurowała niezmiennie „jarzyna", a raz autor podsłuchał rozmowę składaczy, którzy wyśmiewali literata piszącego „jarzyna" przez ż.

Przykładami figli chochlika drukarskiego sypie jak z rękawa Julian Tuwim w swoim „Panopticum i archiwum kultury" — „Cicer cum caule".

# Świątynia File uratowana

Od 30 przeszło lat jedną z atrakcji turystycznych Asuanu była „wynurzająca się" świątynia bogini Izis na wysepce nilowej File, potocznie zwana „świątynią File".

Zakończenie w 1932—1934 r. trzeciego etapu budowy starej tamy asuańskiej sprawiło, że wysepka File wraz ze znajdującymi się na niej budowlami zabytkowymi pogrążała się co rok bardziej w sztucznym jeziorze, w czasie od października do maja. Wtedy bowiem w zbiorniku gromadzono zapasy wody zużywane przez rolnictwo w dolinie Nilu w okresie letnim. W szczytowym okresie napełnienia zbiornika z wód wynurzał się jedynie wierzchołek — wielkiego pylonu świątyni Izis (wysokość 18 m). Nieliczni turyści docierający latem do upalnego Asuanu zwiedzać mogli wyspę tylko w ciągu kilku tygodni, kiedy cała wysepka, zamulona zresztą w czasie przyboru wód, stawała się dostępna. W czerwcu br. rozpoczynają się prace nad zabezpieczeniem „świątyni File" przed okresowym pogrążaniem się w toni. Stało się to możliwe wobec postępu prac przy budowie wysokiej tamy asuańskiej. Zbiornikiem regulującym poziom wód Nilu stanie się mianowicie jezioro Nasera powyżej wysokiej tamy, a nie niewielki zbiornik powyżej starej tamy. Możliwe jest zatem zbudowanie małej tamy wokół File, nie tylko otaczającej ją, lecz także łączącej z prawym brzegiem rzeki.

Akcję podjęło, podobnie, jak w wypadku innych świątyń nubijskich, UNESCO przeznaczając na to część funduszów. Resztę kosztów poniesie rząd ZRA. Głównym inicjatorem ocalenia File jest rząd holenderski.

Budowle na File — to kompleks świątyń pochodzących z okresu od XXVI dynastii (ok. 600 lat p.n.e.) do czasów cesarza Hadriana. Budowla najważniejszą jest wspomniana świątynia Izis, inne — to świątynia Nektanebosa, bogini Hator, wieża Hadriana, świątynia Augusta i inne.

Rozważany był początkowo projekt przeniesienia zabytkowego zespołu na inne, wyżej położone miejsce.

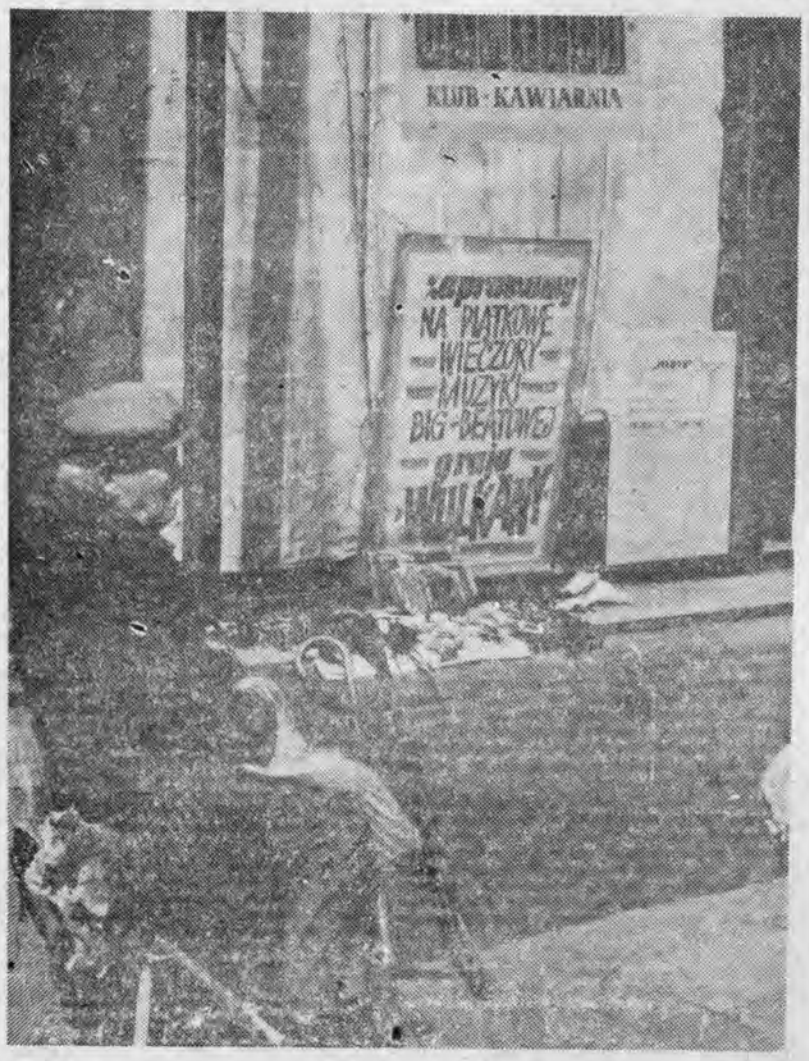


*Uliczny sprzedawca*
*CAF — UCHYMIAK*

# Polonica kulturalne

**MONOGRAFIA O PLAKACIE POLSKIM**

Monografię poświęconą plakatowi polskiemu napisała ostatnio Kira Mytariewa, historyk sztuki z Leningradu. Autorka podkreśla bogactwo ekspresji, dynamizm i zaangażowanie, które cechują dzieła grafików polskich. „Coraz więcej muzeów na świecie zaczyna kolekcjonować plakaty polskie ze względu na ich wysoką wartość artystyczną" — stwierdza autorka monografii.

**MROŻEK PO GRECKU**

W czasopiśmie greckim „Theatro" ukazał się przekład jednoaktówki Sławomira Mrożka „Strip-tease". Jest to pierwszy w Grecji przekład utworu scenicznego autora z kraju socjalistycznego.

Numer czasopisma przynosi też szereg reprodukcji grafiki polskiej, niezwykle wysoko cenionej w tym kraju.

**„WRAŻENIA WARSZAWSKIE"**

Miesięcznik radziecki „Tieatr" opublikował w numerze majowym artykuł E. Chodunowej pt. „Wrażenia warszawskie", omawiający spektakle na stołecznych scenach.

Duże wrażenie na autorce wywarły sztuki Mrożka — „Tango" w Teatrze Współczesnym oraz trzy jednoaktówki („Strip-tease", „Na pełnym morzu", „Karol") w teatrze „Scena 61". Z uznaniem pisze Chodunowa o „Kolumbach" Bratnego w Teatrze Powszechnym oraz o przedstawieniu „Po upadku" Millera w Teatrze Dramatycznym. Szczególnie dużo miejsca poświęca wystawieniu „Zamku" Kafki w „Ateneum", podkreślając wysoki poziom gry aktorskiej oraz ciekawą reżyserię Janusza Warmińskiego.

**SUKCESY WANDY WIŁKOMIRSKIEJ**

Wielkie sukcesy odniosła w czasie swego tournee po Rumunii nasza skrzypaczka Wanda Wiłkomirska. Artystka koncertowała w Jassach, Sybiu i Cluj, a na zakończenie wystąpiła dwukrotnie w Bukareszcie, gdzie grała z towarzyszeniem orkiestry Filharmonii Bukareszteńskiej pod dyrekcją Anatola Fistoulari (Wielka Brytania) I Koncert skrzypcowy Prokofiewa. W programie koncertów Wandy Wiłkomirskiej w Rumunii znajdowały się ponadto utwory Czajkowskiego, Szymanowskiego, Prokofiewa i Bacewiczówny.

M. Ba.

## WIDNOKRĄG ODPOWIADA

**J. N. Dębica:** Prosimy o nadesłanie wspomnianych w liście wierszy, o ile możliwe, w maszynopisie lub napisane staranniej i czytelniej. Teksty, które otrzymaliśmy są interesujące.

**Wanda K. — Jarosław:** Niestety, nie mamy obecnego adresu Bogusława Koguta. Proszę się zwrócić z prośbą o to do Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie. Dane biograficzne znajdzie Pani w „Słowniku pisarzy polskich" lub uzyska je bezpośrednio od autora.

**F. C. — Sieniawa:** Zbyt dużo w Pana wierszach metaforycznych spiętrzeń, które zaciemniają obraz — np. ...„wyszczerbione słowa (żalą się pękającym drzewom), „ślepotę dłoni" lub... „chyląc kłujący granit twarzy (?) w wygasły wiatr odnalezionych spojrzeń". Natomiast ładny jest „Kosmyk słońca w dłoni", albo „zostajesz wołaniem gwiazdy", ale nawet zwroty pełne poezji topi Pan zaraz w sztucznych i nieprecyzyjnych metaforach. Trzeba uczyć się prostoty w dalszych próbach poetyckich — a kontynuować próby warto.

**H. S. Przemyśl:** Wiersze słabe, sporo w nich banału („wyczarowywanie gwiazd w źrenicach", życie to sen, gorycz porażek bywa słodka" — to już wiele razy powtarzało się w poezji i to w tej nie najlepszej). Nie skorzystamy.

**M. B. Jarosław:** Ładne w tonie i dość czyste utwory są jednak trochę niedopracowane. W wierszu „Potem" słaba jest druga strofka. Wiersz „Głębiej" zbyt łatwo rozwiązuje liryczny „problem". Prosimy o utrzymywanie kontaktu.

**Maria P. M. — Rzeszów:** Niestety, nie drukujemy tego typu utworów w „Widnokręgu". Można je wysłać do „Kameny" w Lublinie, w której ukazuje się co jakiś czas dodatek „Ziemia i pieśń" — poświęcony twórczości ludowych poetów i pisarzy.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.